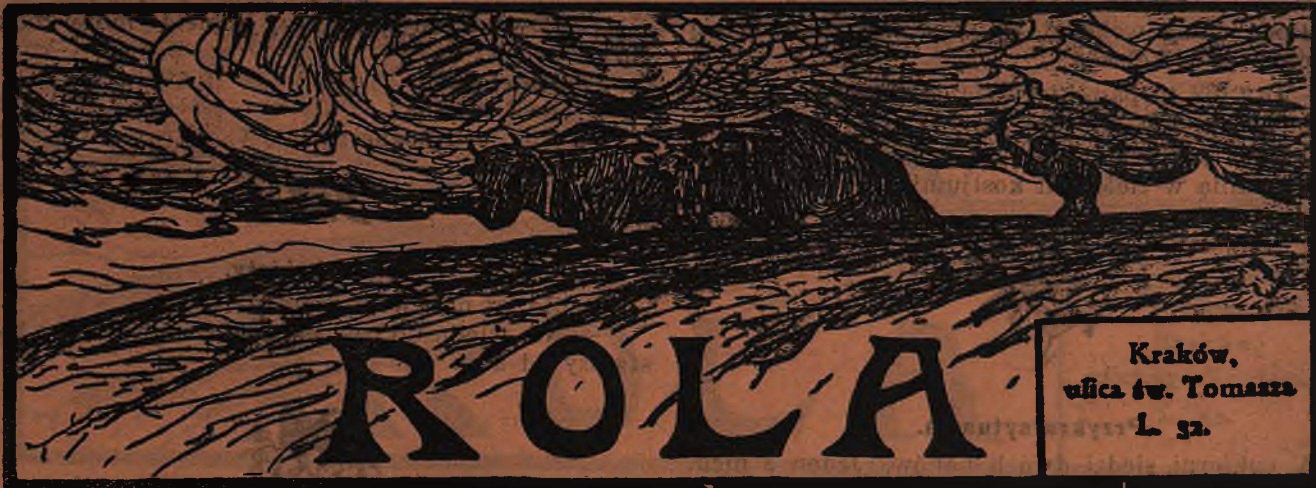
Numer 35. **Nałeż. poszt. opł. gotówką.** **Dnia 28 Sierpnia 1932**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Trzeba być punktualnym.

Młoda dama wchodzi do kawiarni, ogląda się naokoło i pyta kelnera:

— Czy był tu pan, który się dowiadywał o panią w bronzowym kostjumie?

— Tak, proszę pani, czekał tu godzinę i wyszedł z jedną panią w zielonym kostjumie.

Przykra sytuacja.

W cukierni siedzi dwóch panów. Jeden z nich, wskazując na bardzo brzydką kobietę rzecze: „Co za koczkodan!"

Drugi: — To moja żona.

Pierwszy skonsternowany: — Ależ nie ta, tylko jej sąsiadka.

Drugi: — To moja córka.



W koszarach.

— Makolągwa! Z czego się robi bagnet?

— Z żelaza, panie plutonowy.

— Głupiś! A ty Jantecki?

— Ze stali.

— Dureń...! Zajrzyj do książki, jak nie wiesz, a głupstw nie gadaj. Patrz, wyraźnie napisano: „Bagnet robi się z wyżej wspomnianego metalu".

Szczera.

— Powiedz mi Zosiu, czy kobieta może kochać naraz dwóch?

— Może, jeśli...

— Jeśli zalotna?...

— Nie, jeśli bogaci!...

Lata kobiety.

— Ile lat ma twoja mama?

— Nie wiem. Co rok jest młodsza. Niedługo będę starszy od niej.

Na okręcie.

Wspólny obiad, przy którym siedzą i misjonarze. Po obiedzie jedna z pań w rażącym dekolcie, podając misjonarzowi obrane jabłko:

— Niech ojciec pozwoli.

— Dziękuję bardzo; proszę zatrzymać, pani może się ono bardziej przydać.

— Dlaczego?

— Bo Ewa, zjadłszy jabłko, poznała, że jest nieubraną i ze wstydu skryła się za drzewo.

Na egzaminie.

Profesor anatomji do studentki, która nie umie anatomji kobiety, lecz zdała z anatomji męskiej.

— Ach, wy kobiety, cudze lubicie, swego nie znacie!

Numer 35. Rok XV. Kraków, dnia 28 sierpnia 1932.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868,

Powodzenie i niepowodzenie w życiu

Są ludzie, którym się wszystko w życiu wiedzie, ale są i tacy, których wszelkie przedsięwzięcia w niwecz się obracają, największe usiłowania nie wydają żadnego korzystnego rezultatu. Zdawałoby się więc, że powodzenie nasze, że pomyślność w życiu zależy od przypadku, że szczęście nasze wkłada nam już jakiś anioł do kołyski, a my tylko przechodzimy z niem przez dalsze dni życia. Myliłby się ten, ktoby tak sądził. Ani powodzenie, ani niepowodzenie w życiu ludzkiem nie zależy od przypadku, nie dziedziczymy go po naszych rodzicach, ale jesteśmy sami jego twórcami. Zależy to od dzielności naszego charakteru. Już łacińskie przysłowie powiada: „Każdy jest budowniczym swego losu!“

Największym wrogiem każdego człowieka są jego wady i namiętności, dlatego trzeba je mężnie zwalczać, a kto tego dokona, ten osiągnie powodzenie w życiu.

Pamiętać powinniśmy o tem, że przeciwności, jakie napotykamy w życiu, istnieją po to, ażebyśmy uczyli się pokonywać je, a przez to rozwijać te zalety, których nam, niestety, wciąż jeszcze brak, jak: cierpliwość, punktualność, słowność i t. p. Człowiekowi zdaje się nieraz, że wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, gdy w rzeczywistości wszystko jest po to, aby mu pomagać do osiągnięcia ostatecznego celu. Obowiązkiem więc człowieka jest zrozumieć ten plan Boży.

Kto żyje nad stan swego majątku, swoich dochodów lub swego zdrowia, ten popełnia lekkomyślność, która powoduje szereg przykrych następstw. Gdy wydatki wyższe są od dochodów, gdy kredyt jest nadmiernie obciążony, wtedy nastąpić musi przesilenie i kara. Bo człowiek nie powinien przerastać własnej siły. Kto ze swej siły życiowej wydaje więcej, niż go stać na to, ulegnie karze i to nietylko on sam, lecz i wszyscy ci, którzy od niego zależą, a więc żona i dzieci.

Najniebezpieczniejszą rzeczą, utrudniającą a nawet uniemożliwiającą powodzenie w życiu, jest gadulstwo. Dlatego ludzie, którym się powodzi, milczą o swoich zamiarach. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba wtajemniczenia drugich w nasze plany, winniśmy to czynić jedynie z tym z góry postanowionym zamiarem, aby zasięgnąć tylko zdania ludzi doświadczonych, o których wiemy, że są nam życzliwi i nie zdradzą nas.

Co się zyskuje przez patrzenie i słuchanie jest wiele więcej warte niż to, co się zyskuje przez mówienie.

Nic tak nie czyni człowieka starym i niedołężnym, jak nienawiść, nic tak nie wywołuje brzydkich zmarszczek, jak zazdrość, nic tak nie skrzywia rysów twarzy, jak ciągłe wzruszenia niespokojnego sumienia. Na każdej zmarszce napisane jest odpowiednie uczucie.

O tem także pamiętać należy, że każdą pracę rozpoczynać należy z wiarą w pomoc Bożą i siebie samego. Bez wiary niema bowiem powodzenia. Gdybyśmy bowiem rozpoczynali, nawet może i nietrudną rzecz, z tem przeświadczeniem, że jej wykonać nie zdołamy, lub że trudności, które staną naszym dążeniom na przeszkodzie, nie przezwyciężymy, wtedy rzecz może i łatwa stałaby się dla nas trudna, a praca nasza nie osiągnęłaby tego celu, do którego dążymy. Gdy jednak do rzeczy, nieraz napozór niewykonalnej, zabierzemy się z tem silnem przekonaniem, że starania nasze i trudy musi uwieńczyć pomyślny skutek, wtedy jakoś dziwnie przeszkody

znikają, a my ze zdziwieniem spostrzegamy się u celu naszych marzeń. Każdą więc rzecz rozpoczynać z wiarą w własne siły i pomoc Bożą, a cudów dokonać będziemy mogli i powodzenie nigdy nas w życiu nie opuści.

BOLESŁAWITA.

Boża Opieka.

Powieść z XVIII wieku.

(Ciągdalszy).

Od tego wieczora codziennie o jednej godzinie przybywał pan Brzeski do handlu Materskiego, wypijał nie więcej nad jedną miodu lampeczkę powoli, przynoszącego Janka zatrzymywał rozmową i widocznie go polubiwszy, starał się obudzić w nim ku sobie zaufanie. Szczególnym wszakże fenomenem, często w naturze się trafiającym, jakiś wstręt czuł Janek do słodzącego się doń Brzeskiego. Człowiek ten obudzał w nim obawę dziwną, odpychało coś od niego... Życie też owo w gwarliwej winiarni, wśród ciągłego roztargnienia, niedozwalającego nigdy zebrać myśli, zaczynało mu się przykrzeć. Nie mówił o tem nikomu, ale przemyślał, jakby się z tych twardych uwolnić więzów... Niestety miał tylko do wyboru lub ukradkową naukę przy pracy dla chleba, albo żebraninę po domach, upokarzającą i bolesną... Bakałarz, który w wolnych godzinach pomagał mu do nauki, książek dostarczał i otuchy dodawał, był godnym następcą kanonika Hodowskiego co do serca; co do głowy, tę miał tak przewróconą, jak wszyscy ci, co się niedouczywszy czegoś, nie mają siły spostrzec nawet, jak wiele im braknie. Był on nauczycielem dzieci w infimie, a zwał się Euzebjusz Bramiński.

Za co Bramiński polubił Janka, trudno odgadnąć; może iż był biedniejszy jeszcze od niego... może iż mógł dlań grać rolę protektora i mecenasa... dosyć, że go uczył i zaszczycał swojem zaufaniem.

Jednego wieczora, chodząc po izbie, wygrywał Bramiński jakieś trele, którym wycie psa z bliskiego podwórza towarzyszyło w naprzykrzony sposób, gdy zapukano... Euzebjusz przerwał grę, ale mocno rozgniewany...

— Któż tam? — zawołał.

Pokazała się głowa Janka i gniew zniknął.

— A to ty, chłopcze... chodź! chodź! Miałem złożyć właśnie skrzpce... No cóż tam!

— Nic niema, panie profesorze — westchnął Janek — przyszedłem się pokłonić... i użalić...

— Cóż ci to? mów...

— Bieda... zdaje mi się, że nie wytrzymam dłużej — mówił chłopiec. — Choć to się nazywa winiarnią, ale to zawsze rodzaj szynku... wrzawa, hałas, niepokój i o nauce pomyśleć trudno...

— A jakże sobie rady dasz? — poważnie spytał, wyciągając szyję i strojąc protektorską postawę Bramiński.

— Gdyby pan profesor mi dał radę!

— Do bursy cię żadnej nie przyjmą... to darmo! — odparł Euzebjusz.

Profesor przeszedł się razy parę po izbie.

— A jeść trzeba, a jeść trzeba, albo z głodu umierać — dodał jakby do siebie. Nagle odwrócił się do chłopca, i zawołał archimedesowem — „Eureka!“ uderzając się palcem w czoło.

— Wiesz ty co? Kupcowa, ale kobieta wielce szanowna i groszowita, wdowa po bogatym garbarzu Salomonie... nazwisko ze starego testamentu, ale ona do nowego należy — nie bój się — ma trzech synów, wisusów. Chodzą oni do szkoły, ale ba! idąc do niej zwiedzają wszystkie zaułki i tłuką szyby żydom, przekupkom ogony w pęcherze wiążą... wisusy, łajdaki, rozpuszczone to na dziadowskie bicze... Salomonowa mi mówiła, że gdyby się znalazł uczciwy, porządny, spokojny chłopak, któryby z nimi chodząc, dozorował i do nauki w domu napędzał i dobry im przykład dawał... chętnieby mu wikt i stancję ofiarowała...

Janek podskoczył do ręki profesora z wyrazem największej radości.

— A! to wybawienie dla mnie! — zawołał... to szczęście.

— Nie ciesz się tylko tak do zbytku, bo chłopcy Salomończuki urwipołcie jakich mało, i życie ci z nimi może obrzydnąć. Ona kobieta dobra, ale słaba, radaby, żeby ich na ludzi kto wyprowadził, a dyscypliny nie dopuszcza. A cóż poradzić z krnąbrnym duchem bez rózgi? Tylko co sieczone to zdrowe, z gagatków gnój...

— A! z chłopcami dalipan dam sobie radę...

Profesor pomyślał.

— No, to chodź... dom pani Salomonowej niedaleko... poco zwlekać...

Janek jeszcze raz w rękę pocałował profesora i wyszli.

W istocie kamienica kupcowej była niedaleko, a poznać ją mógł przeczuciem Janek po krzyku, jaki trzej chłopcy, ośmio- dziesięcio- i jedynastoletni robili, wisusując w podwórzu... Ukazanie się poważnej postaci profesora spłoszyło nieco Salomończuków... Wdowę zastali w domu z kumoszką, która na kawę przyszła. Znać było po izbach dostatek wielki i starą zamożność... wszędzie pełno kosztownego sprzętu, kobierców, szaf, a w szafach za szkłem sreber i szkieł weneckich i wszelkich osobliwości. Salomonowa, niewiasta otyła, rumiana, łagodnej twarzy... nosiła się z dostojnością imienia swego, wielką przybrawszy powagę.

— Czcigodna pani a najłaskawsza dobrodziejko — ozwał się, kłaniając bakałarz — oto przedstawiam jej młodego, chciwego nauki chłopca, niegdyś wychowańca profesora Hodowskiego i mojego ucznia, który — zdaje mi się — ufam, tuszę, spodziewam się, potrafi zbytnią rozbujałość chłopców jej powstrzymać... Jeśli pani trwasz w zamiarze swym...

Wdowa popatrzyła na Janka, który śmiało w oczy jej spojrzał, jakby całą duszę w wejrzenie chciał przelać i wyspowiadać się z niej, poczęła pytać o sierotę. Nie bardzo jej było do smaku, iż z rodziców wykazać się nie mógł, choć z twarzy i miny podobał się wielce... Była tedy chwila niepewności i wahania, oglądano i badano Janka jak konia na sprzedaż wyprowadzonego, w końcu sprowadzono z dziedzińca trzech paniczów, aby im go zaprezentować. Dzieciaki przyszły go dokoła też opatrywać, nie bardzo rade może nowemu towarzyszowi. Janek stał milczący, odpowiadał śmiało, a resztę polecił Bogu. I to nie po myśli było wdowie, iż w winiarni czas jakiś służył, ale przeważyła rada Bramińskiego i — Janka przyjęto... Pocałował w rękę panią Salomonowę... umówiono się, iż jak można najrychlej się sprowadzi, a tymczasem chłopak pędem pobiegł nazad do Materskiego, bojąc się, że tam już sądny dzień zastanie. W istocie gotowało się jak w garnku, ale gdy nad-

szedł, Materski złagodniał i wszystko weszło w karby zwyczajne. Za stołem w izbie siedział Brzeski już za swoją miodu lampeczką... Przywitał Janka czule... Słyszał zdala wrzawę i pytania:

— Gdzieżeś to chodził, a coś robił? czego tak długo bawiłeś?

— Porzuciłbyś bo tych Materskich — rzekł cicho do Janka — jabym ci inne znalazł miejsce...

Chłopiec nie chciał się jeszcze wydać z tem, że je już miał, i spytał:

— Jakież proszę pana?

— Tu w Krakowie, widzisz — odezwał się Brzeski — trudno o to... Jabym cię zawiózł... mam znajomego w klasztorze, przy szkole... w pewnem miejscu... miałbyś niejedno? tu czy tam, byle szkoła? Ludzie poczciwi... uczeni... Chcecz? zabierz manatki, zabierz manatki, zajadę po ciebie jutro w nocy i... już się o resztę nie troszcz...

Janek, nic nie odpowiadając, skłonił się; myślał, że się to w przypadku grymasów pani Salomonowej przydać może...

— Niechże mi pan da cokolwiek czasu — rzekł... Toć to... tak się wyrwać trudno... muszę zmiarkować. Za dobroć pańską wiecznie mu będę wdzięcznym...

— A pocóż odkładać, poco odkładać? Odkładany tylko ser dobry — zawołał Brzeski — potem ja nie wiem, czy będę mógł... boć ja w tych dniach jadę... a to drogi kawał... a potem...

Brzeski machnął ręką.

— A co ci tam Materscy!

— A! nie, panie! ja tak powiedzieć nie mogę, ludzie ci dali mi przytułek! gdym go potrzebował... opuścić ich niewdzięcznie grzechem by było.

Stary kulawy popatrzał i zamilkł.

— Mam jeszcze kogoś, z kim bym się pożegnać musiał — dodał Janek... a bez rady i błogosławieństwa bym nie ruszył, to poczciwą, przybraną matkę moję... na wsi...

— A co ci tam ona! — mruknął Brzeski z szyderskim wyrazem... co ci tam te chłopy...

Janek nie odezwał się, ale krokiem odsunął się od człowieka, do którego czuł wstręt coraz większy... Mimo to jednak wdzięczny mu być musiał, bo on mu dobrze życzył i wyciągał dłoń pomocną...

— Niech mi pan raczy dać czas do namysłu...

Brzeski podumał.

— Jak chcesz — odezwał się — no... dzień, dwa, dłużej nie mogę, ale pamiętaj, gdy ci szczęście samo w ręce lezie, abyś potem odepchniętego nie żałował...

To mówiąc nałożył czapkę i poszedł.

Przerzedzało się co chwila w winiarni, godzina była spóźniona, chłopak nietknąwszy książki, skulony na ławeczce, dumał nad losem swoim. — Co począć! — W tych stanowczych chwilach, gdy się rozstrzyga jednym krokiem przyszłość całą, nawet dziecię czuje tę trwogę nieznanego, nieodgadnionego, która ogarnia człowieka... W młodości więcej jest wiary w gwiazdę szczęśliwą i w opatrzność łaskawą, a przecież drży serce... bo któż sięgnie proroczem okiem w głębiny? Jankowi było straszno i smutno. Trzy drogi miał przed sobą. Zostać u Materskich i bić się dalej a dalej, pójść do Salomonów, pojechać z mało znanym a wstrętliwym opiekunem, który mu się narzucał?

— Stara Hruzdzina miała dla mnie serce matki — rzekł w sobie — może też ona mieć będzie macierzyńskie przeczucie, co lepiej? Pójdę się jej poradzę.

Janek widywał często przybywającą do miasta poczciwą starą, która go nigdy nie minęła... lecz ani razu nie zajrzał na wieś. Sądził, że teraz bezpiecznie tam na chwilę przekraść się może... Szlachcic był zachorzał i zmarł, a panicz podrósł i czuba natartego zapomniał. Jakaś go wielka ochota brała miejsce to odwiedzić, gdzie się chował i gdzie pierwsze przeżył lata... te lata, których nawet bóle słodko się później przypominają...

Więc gdy Materski szedł burcząc zamykać drzwi żelazne. Janek mu się pokłonił.

— Miałbym prośbę do pana...

— Hę? — spytał kupiec — już prośbę? już mylisz, że takeś mi się zasłużył, że tak się bez ciebie jak bez prawej ręki obejść nie potrafię, iż możesz ze mnie ciągnąć co zechcesz...

— Ale ja nic nie myślę — odparł Janek — i o nic więcej nie proszę, tylko o uwolnienie mnie na jeden dzień, bo muszę pójść na Prądnik.

— Hę? już świerzbi? już świerzbi? — zawołał Materski — po co? na co? aby bąki zbijać?...

— Matkę przybraną chcę... widzieć i z nią się poradzić.

Kupiec aż drgnął.

— Cóż to za rada? czy już cię piecze, czy już ci źle?

— Łaską pańską nie gardzę, lecz...

— A idź! idź! nie pytam więcej, idź sobie... na cały dzień, na dwa dni! myślisz, że się bez asindzieja nie obejdę, obejdę... otóż obejdę... idź....

Chłopiec, milcząc, się pokłonił i na tem się skończyło. Kupiec sądził, że go nastraszy, i zląkł się widząc, że to nie zrobiło zamierzonego skutku.

— Jak mi drapnie — rzekł w duchu — nie łatwo takiego drugiego znajdę.

Naradzali się z żoną długo, ale nic nie postanowili. Jak świt Janek z bijącem sercem wyruszył. Ranek był letni, pogodny, a świat uśmiechnięty i wesoły.. wyszedłszy z miasta, między drzewa... na zieloność okrytą rosą, serce się mu rozradowało...

Już był Janek na pół drogi, gdy zdala, czy oczy łudzą? — patrzy, wlecze się z króbką stara Hruzdzina. Spuszczoną mając głowę, bo pacierze odmawiała, nie rychło go postrzegła... Chłopiec, nie chcąc jej nastraszyć, począł śpiewać już zdaleka. Dopiero zwolna oczy podniosła i stała zdumiona.

— A toż Janek...

— Ja sam?

— Cóż ty robisz? dokąd? stało ci się co? mój miły Boże!

— Nic, nic, dobra matko — rzekł, całując ją po rękach — anom do was zatęsknił jakoś...

Zawahała się stara.

— Hruzdy niema w domu, mnie dziś do miasta nie koniecznie, wróćmy do chaty, większe pół drogi uszedłeś... choć się tobą pół dnia nacieszę. I poczęła go ściskać a głowę schyloną pocałunkami okrywać... Jankowi się na łzy zbierało... Przeżegnali się przed blisko stojącym krzyżem i zawrócili nazad do Prądnika... a szli, nie spiesząc, powoli... a Hruzdzina potykała się co chwila, bo zapatrzywszy się na dziecko, pod nogi spojrzeć zapominała.

— Otóż tak, prawdę mówiąc całą — ozwał się po pierwszych słowach Janek — jam nie darmo się u Materskiego wyprosił... bo myślę coś z sobą, a postanowić sam nie umiem.

— A czyż to ja rozumniejsza jestem od ciebie! — wzdychając odpowiedziała kobieta...

— O! matko droga — zawołał Janek — i rozum macie starszy od mojego i serce matczyne... radźcie.

— Cóż radzić?

Począł Janek opowiadanie... Zaledwie o kulejącym wspomniał, kobieta plasnęła w dłonie.

— Jezu miły! a toż kuternoga ten pewnie, co cię przywiózł do nas. Jemu ty na coś potrzebny. Nie darmo on ci tak z łaską się swą narzuca...

— I co prawda — rzekł Janek — człek mi czegoś straszny i wstrętliwy...

— Jakże wygląda?

Chłopak opisywać go począł, a Hruzdzina dokończyć nie dając wołała już:

— Ten sam, na Boga, strzeż się, strzeż... on na ciebie czatuje, a jeśli wywieść chce, nie bez przyczyny. Zgubę ci może gotuje... Za nic do niego nie idź... za nic...

— Otóż widzicie, matko — rozśmiał się chłopiec — że głupi Janek wcale postąpił nie głupio, idąc po radę do was... ani by mi na myśl nie przyszedł kuternoga.

— Toć on to, on, — poczęła stara a dla większej pewności gotowam przyjść i stać, aby go zobaczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Paweł Cholewa.

Hej, cóż tam za wojsko ciągnie przez błonie, jak stado żórawi, a co to za rycerz na przedzie, co cały świeci w zbroi, a wygląda jakby nie z krwi i ciała, jeno wykuty z żelaza albo wyciosany z kamienia?

To polskie wojsko, sunie na wroga, co wpadł na polską ziemię, a to król Bolesław Śmiały jedzie na przedzie. Górą kruki i wrony lecą i kraczą a kraczą.

— Będziem żer mieli — woła stary gawron.

— Cieszmy się, cieszmy! — kraczą kruki i wrony.

— Oj, prawdę mówisz gawronie stary: nażrecie się nieprzyjacielskiego cielska wy kruki i wrony!

Król Bolesław konia ostrogiem spina i przodem wojska jedzie.

Oj, źle z wami ciężkie wrogi, w złą godzinę zachciało się wam polskiego chleba, nie ujdzie z was ani noga cała, niech was jeno dopędzi król Bolesław Śmiały.

Coś tam czernieje w dali, czy to wrogów czerń obrzydła? Nie, to gęsta dąbrowa, co zasłania drogę. Król Bolesław zchmurzył czoło.

— Bierz ją licho tę dąbrowę — woła — będziem musieli jechać przez gęstwinę.

I czwałem puszcza konia i sam pierwszy wpada w dąbrowę. Za nim polskie wojsko jedzie i jedzie, ale czy szatan wziął wrogów w swą opiekę, las coraz gęstszy i gęstszy, i ani rusz dopatrzeć drogi. Nie może przedrzeć się przez gęstwinę wrony koń króla Bolesława, nie może podążać wojsko całe.

— Ej, chyba wrócić nam na inną drogę — szepce wojsko między sobą.

Król Bolesław zatrzymuje konia wypatrzył się przed siebie i coś duma i duma. W tem bacznie nadstawił ucha i wykrzyknął głośno.

— Ej słyszycie, że ktoś drzewo rąbie w lesie!

Słucha wojsko całe, i prawda, w lesie tętni jakieś rąbanie.

Król Bolesław spina konia i jedzie sam w tę stronę; a owo zaraz stoi chłop w płótniance i pniak ścina siekierą, a koło niego leżą dwie klamry żelazne bez jakich się nie obejdzie cieśla majster.

— Hej, człeku — woła król — ktoś ty taki?

Poznał chłop króla po świecącej zbroi i rzecze pokornie:

— Jam biedny cieśla, miłościwy panie! Paweł Cholewa się zowię.

— Czy dawno tu rąbiesz? — pyta król dalej.

— Od świtu, miłościwy panie.

— A nie wiesz, kędy poszedł ten wróg obrzydły, co chce łupić naszą ziemię? — zagadnie król.

— Oj, wiem miłościwy królu — mówi cieśla — skryłci się tu w kępie za lasem.

A król aż podskoczył na siodle, i zbroja mu zabrzęczała, że się omal nie sypnęły iskry.

— A znasz ty drogę człeku, którędy wybrnąć z tego boru?

— Oj, znam miłościwy panie — mówi cieśla Cholewa — zaprowadzę was na krótki manowiec i zaraz znienacka dopadniecie wroga.

— Słuchaj człecze — woła król — stawaj przy mnie i prowadź: a jak zaprowadzisz na wroga, toć już ostatni raz dziś pracowałeś siekierą.

Paweł Cholewa pokłonił się królowi, żelazną klamrę zarzucił na plecy i prowadził naprzód. I poznać zaraz, że nie chwalił się nadaremnie. Ot już wojsko wyszło za manowce; a po trawie znać ślady, którędy wróg przechodził, żołnierze mocniej ściskają szable w ręku, a cieśla Paweł Cholewa spokojnie i potulnie idzie wedle króla i jeno klamrę przytrzymuje na plecach. A widać i jemu, czegoś serce mocno bije, i z oczu się iskrzy niby płomień.

Toć on także Polak sercem i w nim kipi złość na wroga.

Już się skończył manowiec coraz to rzadsze drzewa, a tam na kępie zielonej rozłożyła się wrogów czerń okrutna.

— Boga Rodzico! — huknie król, a za nim wojsko całe, i dalej z kopyta na wroga.

Nie spodział się wróg okrutny tego napadu, ledwo piąty przez dziesiąty dopada konia i miecz dobywa z pochwy, a reszta jeno wrzeszczy, krzyczy, piszczy i ucieka.

A tu nasi hurmem walą, szable furczą w powietrzu niby pszczoły, a świecą do słońca jak błyskawice.

Górą nad lasem kraczą kruki i wrony, a kraczą wrogom Polski zagładę.

Hej kruki i wrony! żebyście tak zawsze krakały! Nie mają gdzie uciekać wrogi, podli najeźdźcy, bo nasi zewsząd zastępują drogę i śmigają szablami, że się iskry sypią. A król Bolesław między wszystkiemi najpierwszy, a szabla u niego furczy i świszczy, aż zdala mrowie przechodzi przez skórę.

W tem ci jeden z tyłu się zakrada i wali obces na króla. Król sunie ciągle naprzód i nie patrzy za siebie, a chytry wróg już, już koło niego! I świsnął szablą w powietrzu, i już miał z tyłu ciąć króla w głowę, kiedy w tej chwili koń jego przykląkł na przednie kolana, a on sam przez końską głowę bęc na ziemię. Ej, toż to Paweł Cholewa tak okrutnie klamrą swoją zajechał konia po nogach, że aż padł i jeźdźca przerzucił przez głowę. A Cholewie nie dość na tem, chwyta za szablę zabitego wroga i tnie, rąbie i siecze dalej, kogo jeno polska nie zrodziła matka.

Oj, nie, niema już wroga na polskiej ziemi; psy żłopią jego krew, kruki wrony wydziobują oczy! — A król Bolesław dumny i zwycięski wraca do Krakowa, a koło niego jakiś pan w szatach bogatych. Ej, czy oczy ludziom zastąpiło, taż to chłop cieśla Paweł Cholewa! Ho, ho! nie cieśla to już i nie prosty chłop więcej! Na placu bitwy otrzymał od króla szlachectwo i został wielkim panem bo las wszystek i ziemię, którędy i wojsko prowadził na wroga, król jemu i jego dzieciom na wieczne czasy darował. Żyją jeszcze dzisiaj prawnuków prawnuki, a wszyscy są wielmożni panowie na wsiach i przysiołkach.

Ej, matka Polska to wspaniała pani! Kto jej się na włosek zasłużył, to już na dęba odbiera.

Na ulicach Warszawy.



Czasy pomiędzy rokiem 1831 a 1863 były dla Polaków czasami olbrzymiej próby sił z ciemiężycielem narodu polskiego, carem rosyjskim, a narodem, który utracił swą wolność na długie lata. Polacy nie mogli otwarcie pracować nad podniesieniem narodu, gdyż nie dopuszczali do tego ówcześni władcy Polski, a rząd rosyjski miał wszelkie środki do tego, aby naród zgnębić, otumanić i zdeprawować. Mimo to nie brakło w Polsce ludzi, którzy nie mogąc otwarcie, potajemnie budzili ducha narodu, krzepili siły swych współbraci i przygotowywali ich do czynów, które miały im kiedyś przynieść utraconą, a tak upragnioną wolność.

A praca to była olbrzymia. Ci wodzowie duchowi narodu mieli przed sobą masy ciemne, nierozumiejące, co to Polska, co to wolność, co to swoboda narodowa. Masom tym nie zależało na ojczyźnie, gdyż jej nie rozumieli, nie rozumieli tej wolności, jak ich przodkowie niegdyś posiadali i zrozumieć jej nie mogli, gdyż nie była ona zupełną wolnością całej masy narodu, nie była wolnością ludu, a jeno garści wybranych, jaką stanowili magnaci i szlachta. Toteż opowiadanie o tej wolności nie budziło zachwytu w szerokich masach. Chłop chciał mieć tylko spokojny kawałek chleba, a więcej go nie obchodziło.

Były i pomiędzy ludem wiejskim jednostki, które rozumiały znaczenie tego wielkiego słowa wolność, ale nie rozumiał go naród cały. Więc też już z tego powodu praca nad ludem była bardzo trudna. A utrudniało ją jeszcze bardziej to, że rząd rosyjski czuwał i pracujących nad uświadomieniem ludu polskiego wywoził na Sybir, karał dożywotnią katorgą, znęcał się nad uwięzionymi. Mimo to podziemna praca nad ludem polskim nie ustawała. — Ziarna, rzucone w umysły ludzkie, kiełkowały, rozwijały się i wyrastały w rośliny, które choć nie zaraz, ale w przyszłości miały wydać plon obfity.

Moskale byli silni, chytrzy, ale przytem i głupi. Byli silni, ale obawiali się podbitego narodu, aby ten z rozpaczy nie porwał za broń i nie wyżenął ich z zabranego kraju. Toteż kręcili, jak mogli. To dawali pewne swobody, to je odbierali. Widzieli to i rozumieli ci, którzy stali na czele narodu, ale nie widział tego lud prosty. I ucierało się takie przekonanie, że jeżeli chłopi otrzymywali jakie swobody, to w ich przekonaniu dawał je car, a jeżeli przychodziły obostrzenia, to winni byli temu panowie.

Rząd rosyjski był głupi, gdyż swojemi sztuczkami chciał rozdwoić naród, a tymczasem, rozdwajając go pozornie, wzbudzał w nim większą odporność i wyrabiał hart ducha. Za jednego wywiezionego na Sybir stawało do pracy dziesięciu i rozpoczęte dzieło szło dalej. Gdyby był mądry, a odrazu zaprowadził równouprawnienie, nadał swobody, byłby sobie zjednał wszystkich i może nazawsze połączył Polskę z Rosją.

Wskutek prześladowań naród nabierał hartu ducha. Nie cały, ale nabierała go szlachta, duchowieństwo, inteligencja, mieszczanie i wielu rozumniejszych chłopów. Siła, choć w ukryciu rosła, a większe lub mniejsze wybryki Moskali nie tłumiły jej, lecz potęgowały.

Zaczęto też coraz częściej urządzać obchody narodowe, aby jak największe masy uświadomić i wyrobić w nich miłość Ojczyzny.

Taki obchód narodowy urządzono dnia 27 lutego 1861 roku. Kiedy pochód znalazł się na ulicach Warszawy, wojsko bez żadnego powodu i najniepotrzebniej dało salwę, kładąc trupem pięciu uczestników.

Chwilę tę widzimy na naszym obrazku. Jeżeli obrazkowi temu dobrze się przypatrzymy, to zauważymy, iż do uczestników pochodu strzelają żołnierze, ubrani w pruskie pikielhauby. Zdawałoby się więc, że do ludu strzelali Prusacy, a nie Moskale. A jednak

byli to Moskale. Współczesny malarz umyślnie strzelających żołnierzy wyrysował w pikielhaubach, aby zmylić czujność cenzorów rosyjskich, by ci rysunek ów w gazetach zamieścić zezwolili. I tak się stało. Gdy się Moskale spostrzegli, jak ich wyprowadzono w pole, rysunek ów w tysiącach egzemplarzy obiegł już całą Polskę.



Powiadają niktóre świątobliwe osoby, ze ja jestem okrutecny zbytnik i ze o nicem inksem nie myślę, ino o babach. Moze to i prawda, ze myślę o nich ciągiem, ale pocóz je Poniezus stworzył? Chyba przecie nie na to, zeby o nich całkiem nie myśleć, bo wtencas byłoby naprawdę źle. Jakby się o babach nie myślało, to nie byłoby ani ślubów, ani wesel, ani chrzcin, ani pogrzebów, ani inksych zadnych uroczystości. A tak ze chłopaki myślą o babach, to mają z cego zyć i jegomość i pan organista i kościelny i gróbarz i wszyćkie inne parafjalne urzędniki. Jakby my męzcy parafjanie o zeńskich parafjankach nie myśleli, to z cegózby zył nas prefesur? Nie byłoby dziecków, nie byłoby prefesura, nie byłoby skoły. A jakby nie trza było prefesurów, to nie trzebaby było skół, w których na prefesurów ucą i znówby prefesury prefesurów z głoduby pozdychały.

Ale to jesce nic, bo choćby nie było skół i prefesurów, to i takby świat istniał, bo nie było ich przez wiele wieków, a ludzie zyli i jakoś sobie dawali radę. Ale jakby brakło dla skół chłopaków, toby ich brakło takze na zołmirzy. A jakby nie było zołmirzy, toby przyśli Prusaki i Moskale i zabraliby nam wszyćko, cośmy posiadali.

Jakby nie było chłopaków na zołmirzy, toby ich nie było takze na krawców, szewców, stolarzy, kowali i inksych rzemieśników, a nie ino to, aleby ich nie było i na rolników, którzy la wszystkich ludzi sadzą w zimiakach lub w zycie. A jakby nie było na świecie chłopaków, toby nie było i dzieuch, bo skądby się wzięły? Przecie sama baba na świecie nic porządnego ustulać nie potrafi.

Aby to wszyćko było tak, jak jest, do tego konieczne jest myślenie chłopaków o dzieuchach, a w najgorsym razie zeniatych o dzieuchach i niezeniatych o babach, które juz mają coś podobnego do chłopa w własnem posiadaniu.

Myślenie o babach jest taką koniecnością państwową, jak podatki, jak słuzba wojskowa, jak i inkse cynności urzędowe. Latego tez mnie się zdaje, ze kuzden obywatel powinien być ustawowo obowiązany tyle a tyle godzin myśleć dziennie o babach, aby wszyćko sło w swojem porządku. A myśli kto więcej, to i owsem. Przecie nikogo nie kunirują za to, jezeliby chciał płacić więcej podatku, niz się mu słuśnie nalezy. Jezeli idzie kto na wojnę i broni swojej Ojcyzny, to spełnia swój obowiązek i za to chwalą, z' jest dobrem zołnirzem. A jak tensam nietylko broni swojej Ojcyzny, ale jesce pierze wroga i pędzi za dziesiąta granicę, to nie ino go chwalą, ale wisają na niem mendale, aby kuzden wiedział, ze on więcej ucynił ponad swój zwykły obowiązek.

Latego tez i taki, który więcej myśli o babach ponad swój zwykły obowiązek, powinien zasługiwać na scególniejse wyróżnienie i otrzymać nie jeden, ale dziesięć mendali, aby wszyscy wiedzieli, jaki to zasłuzony człowiek.

Dziwna rzec, ze na takiego, który najwięcej myśli o babach, właśnie te myślane baby najbardziej na niego wygadują. Posądzają go o Bóg wie co, choć on poprawdzie nic jesce złego nie zrobił.

A nie tylko świeckiem ludziom, ale i nasemu jegomości zazdrość, ze ja ciągiem o babach myślę. Spotkali mnie wkiejsik i padają:

— Słuchaj, Maciek, jak się nie ustatkujes i nie zaprzestanies o takich świństwach gadać, jakiemi są baby, to cię tak z kazalnicy spsiocę, ze ruski miesiąc zapamiętas. No przyznaj się, smyku, ze ci baby ciągiem w głowie i na języku.

— Co prawda, to prawda, jegomościeńku, ale juz się tak składa, ze człek cy w dzień, cy w nocy, musi myśleć o babie. Ledwie się wiecorem na wyrku połozy, a juz mi Kaśka na myśl przychodzi, ze nieściwiara, zamiast człekowi hadery wyharuzyć, to się cały dzień swenda poza łujkową stodołą i patrzy, cy z poza którego węgła jakiego chłopskiego zapachu nie pocuje. A pchły nie patrzą, cy Kaśka ma cas, cy nie, ino mi ją bez całą noc przypominają i spać nie dadzą. Jakze jegomościeńku, nie myśleć o babach w takiem utrapieniu. Albo rano, kiedy zołondek zacnie godzinki wygrywać, to zaraz po pacirzu przychodzi baba na myśl, tem razem nie Kaśka, ale gospodyni. Człek myśli i myśli o swojej ukochanej gosposi, kiedy ta jaką ciarapkę baszcu i donickę postawi. A gdy nawet postawi, to jesce i tak człek musi myśleć o niej, albo źle, albo dobrze. Dobrze, jeśli ciarapka wielgaśna; źle, jak ciarapka mikrna. A i w tencas, jak się wsunie dokumentnie dary Boże do grzysnego cielska, to człek dalej musi myśleć o babie, cy mu ta baba na obiad poda obfitsy futrunek, anizeli na śniadanie, cy go będzie chciała ino oćmić miłosnemi słówkami. Gdyby człowiek nie potrzebował jeść, gdyby pchły nie kąsały, toby jegomościuniu, człek nie potrzebował myśleć o babach, ale tak, jak jest, to i dalej tak być musi i nikt i nic na to nie pomoze.

— Chytryś ty, Maciuś, ale przecie wis, ze ja nie o takiem myśleniu myślę.

— Nie o takiem? — powiadam ja. — Toć ja przecie prorokiem nie jestem, abym wiedział, kto o jakiem myśleniu myśli. La mnie, jak powiedziałem, najważniejsa jest ta baba, która da dobrze jeść i pozwoli się ućciwie wyspać i o takich babach ja ciągiem myślę, a to zdaje mi się nie grzech.

Kocham...



Kocham piękne zwoje kwiatów
Róż, fijołków i bławatów
Co przecudną barwą swoją
Przystrajają chatkę moją,

Kiedy sobie w chwili wolnej
Po pracy ciężkiej, mozolnej
Siądę przy kwietnym kobiercu
O, jak miło memu sercu.

To też radbym widzieć wszędy
Zamiast ostów, kwiatów rzędy
Zamiast pokrzyw koło chaty
Jakże radbym widzieć kwiaty.

Andrzej Dej.



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Wróciwszy do Krakowa, szofer znalazł walizkę topielicy w aucie, którą ukrył w mieszkaniu. Z niepokojem czytywał gazety i wreszcie na czwarty dzień znalazł artykuł „Samobójstwo czy zbrodnia“, z którego dowiedział się, że nieznajomą znaleziono jako topielicę. Z fotografji poznał ją natychmiast. W pierwszej chwili wiadomość ta sprawiła mu ulgę, potem nie dała spokoju. Sumienie ciągle wyrzucało zbrodnię. Rozpił się z tego powodu, porzucił posadę, a wkońcu coraz bardziej grzązł w błoto zepsucia. W walizce znalazł paszport, który powiedział mu, że nieznajomą była hrabianka, Marta Radwanyi z Londynu — nadto list pisany po polsku, trochę toalety i sporo gotówki. Mimo stoczenia się w błoto pieniędzy nie tknął. Kilka miesięcy walczył ze swojem sumieniem, aż wkońcu zgłosił się na policję w Krakowie, odnosząc walizkę z całą zawartością. Ponieważ zbrodnia została dokonana na moim terenie, policja odstawiła go do Myślenic.

— Pan hrabia przyjechał dzisiaj, — mówił dalej komisarz — zatem jutro odtransportuję go do sądu okręgowego, któremu nasz powiat podlega. Najważniejszą jednak jest przyczyna, która spowodowała podróż hrabianki Radwanyi, a w rzeczywistości Róży Malczykówny, w nasze strony. Nakłonił ją list niejakiej Marji Fekete, klucznicy na zamku pana hrabiego, który znaleziono w walizce — ciągnął, patrząc przenikliwie na hrabiego. Czy chce go pan odczytać — zapytał?

Hrabia skinął, podał mu go. A gdy się zagłębił w czytaniu, komisarz patrzył z wyrzutem na Brutanka. W pierwszej chwili nie rozumiał mowy jego ócz, widząc jednak niepokojące zmiany na twarzy hrabiego, a wkońcu jego smutek, poczynał się czegoś domyślać. Kiedy zaś hrabia podał mu list do przeczytania, rozjaśniło się zupełnie w jego głowie. Rozumiał, iż komisarz miał żal do niego za to, że nie zdradził przed nim całkowicie tajemnicy.

Czytał bowiem:

„Droga Panno Różo! Widzę, iż lada dzień pożegnam się z tym światem. Przed śmiercią, jako ostatni świadek tragedji matki pani, pragnę zdradzić jej tajemnicę urodzenia. Wiedziałam, iż pani zastanawiała się zawsze nad tem. Matką pani była Polka, niejaka Janina Malczykówna, rodem ze wsi Babie, powiatu nowosądeckiego, córka Wojciecha. Zakochawszy się w hrabim podczas jego pobytu w domu rodziców z okazji manewrów, podążyła za nim. Wzruszony jej wielką miłością, której nie podzielał, hrabia pozostawił ją i przydzielił do pomocy lekarzowi zamkowemu. Matka pani studjowała bowiem medycynę, której nie skończyła z powodu nieszczęśliwej miłości. W noc poślubną hrabiego z hrabianką Konopacką, uśpiła obydwoje. Powodowana miłością, usunęła hrabinę z łóżka, zdobywając podstępem pierwsze pieszczoty jej męża. Zapomniałam bowiem podać, że matka pani była jak dwie krople wody podobna do pani hrabiny. Ojcem pani jest hrabia Radwanyi. Z urodzeniem pani związana jest cała tragedja“.

W dalszym ciągu następował opis znanych już Brutankowi z ust hrabiego wydarzeń.

„Z tego wynikałoby — czytał dalej, — iż dotąd niewiadomo, czy pani była córką Malczykówny, czy też hrabiny Radwanyi. Po powrocie ze szpitala hrabina upatrzyła sobie natychmiast w Marcie swoje dziecię, a panią uważała za córkę zmarłej i na tem opiera się przekonanie, że ona była matką pani. Na końcu ośmielam się zaznaczyć, iż dziadkowie pani, a rodzice zmarłej matki żyją dotąd. Są zamożnymi gospodarzami i zamieszkują w miejscu urodzenia matki, która była ich jedynaczką. Przypuszczam, iż ucieszyliby się niezmiernie wiadomością o istnieniu wnuczki. Radziłabym szczerze ich odwiedzić. *Marja Fekete*“.

Brutanek, skończyszy czytanie, spojrzał na hrabiego, który w smutnej zadumie siedział na krześle.

— Przypuszczam, iż panna Róża Malczykówna chciała spełnić życzenie klucznicy — przerwał milczenie komisarz.

— I ja tak sądzę — potwierdził hrabia Radwanyi. Zawsze intrygowała ją zagadka urodzin. Nic też



Na polecenie komisarza wprowadzono winowajcę...

dziwnego, skoro jej podano wyjaśnienie, pragnęła poznać strony rodzinne matki i swoich dziadków.

— Może chcecie panowie zobaczyć winowajcę? Z wyglądu sądzę, że jego zeznania zasługują na wiarę.

— Niech się pan komisarz nie trudzi — zaprzeczył Brutanek, lecz hrabia okazał chęć zobaczenia zbrodniarza. Czynił to w chęci rozproszenia trapiącego go smutku.

Na polecenie komisarza, wprowadzono winowajcę na salę. Był to młody 25-letni chłopak, wysoki i przystojny. Zgodnie z opinją komisarza tak Brutanek jak i hrabia ocenili, że wygląd jego nie zdradzał mordercy i kazał wierzyć w szczerość zeznań. Twarz jego miała nawet wyraz miły i pociągający. Błądził wzrokiem po obecnych, którzy zauważyli na jego twarzy wielkie zgnębienie i przejęcie się wypadkiem. Stał się mimowolnym zbrodniarzem — podniecony namiętnością.

— Za cóż będziecie go sądzić? — wyrzekł hrabia — skoro policjant wyprowadził go ze sali. Czyż to jego wina, że przez przeznaczenie został wyznaczony na wykonawcę wyroku?

Brutanka zdziwiło łagodne ocenienie zbrodni. Wszak hrabia był głównie interesowany i powinien raczej potępić zbrodniczy czyn, niż bronić. Komisarz niemniej był zaskoczony słowami hrabiego. Brutanek widział w tem jego niezwykłą dobroć, łagodność i pobłażliwość — komisarz patrzał natomiast z punktu widzenia prawa.

— Gdybyśmy tak sądzili — wyrzekł — musielibyśmy wszystkich zbrodniarzy uważać za wykonawców przeznaczenia.

— No tak — ale w tym wypadku znajdujemy taki niezwykły splot wydarzeń, iż rzeczywiście musimy w nim widzieć ofiarę przeznaczenia. Gdybyśmy bowiem mieli do czynienia z zawodowym zbrodniarzem, nie okazałbym najmniejszej litości. Ale przecież sam pan mówił, że to był człowiek uczciwy...

— Cóż jednak robić? — nie sprzeciwiał się komisarz. Prawo jest bezwzględne i musi być odstawiony do więzienia.

— Jak mamy postąpić z pieniędzmi i kosztownościami? — spytał na końcu komisarz.

— Odeślijcie je jej dziadkom. Niech się dowiedzą, że mieli wnuczkę.

Po opuszczeniu komisarjatu, przepędzili jeszcze kilka godzin w mieszkaniu Brutanka, a wieczorem odjechali do Debreczyna. Hrabia był przekonany, że więcej nie będzie potrzebował odwiedzać tych stron. Kiedy zbliżyli się do granicy czeskiej, hrabia, który cały czas milczał, trwając w smutnej zadumie, wyrzekł, wskazując na okolicę.

— Drogo musiałem zapłacić waszej polskiej ziemi za szczęście, które tu spotkałem.

— A ja węgierskiej! — wyrwało się mimowoli z ust Brutanka.

Hrabia spojrzał nań ze zdziwieniem.

Po chwili skinął jedynie głową.

— Skoro sobie wspomnę, jakie koleje przechodziłem, nim znalazłem się pod dachem pana hrabiego, aż strach mię przejmuje — usprawiedliwiał się Brutanek. Boję się spojrzeć w przyszłość, pamiętając, iż idąc za „cieniem śmierci“, znalazłem szczęście. Obawiam się, aby mnie, jak i pana hrabiego los nie rzucił w wir tragicznych wypadków.

— Ja sądzę inaczej — przerwał hrabia. Szczęście pańskie wywodzi swój początek z tragicznych wydarzeń, zatem przyszłość będzie jasna. U mnie było przeciwnie. Najbardziej żal mi tego dziewczęcia, które wśród tak dziwnych okoliczności urodziło się, nic dobrego nie zaznało w życiu i podobnie dziwnie utraciło je. Cierpiało nie za swoje, lecz za matki i ojca winy.

Ogrom nieszczęścia Róży tak ich rozrzewnił, iż szy czas milczeli. W Koszycach zatrzymali się na kolację, którą spożyli w wytwornym lokalu. Będąc pod wrażeniem słów odczytywanych przez komisarza, zatopili się w myślach, patrząc smutnie na otoczenie. Hrabia był zgnębiony śmiercią córki. Brutanka, inne zajmowały myśli. Gdy opuszczali Koszyce, wyłuszczył je wobec hrabiego.

— Gdybym był przypuszczał, iż rozwiązanie zagadki nieszczęśliwej, wypełni rzeczywiście jej osnowę, nigdybym się nie zainteresował tą sprawą.

— Takie to dziwne i naprawdę dziwne.

— Panie hrabio — przystąpił wreszcie do uczuć wiążących go z jego córką, wybudzając mimowoli. Czyż pan hrabia nie widzi różnicy zachodzącej między mną, a swoją Martą?

Spojrzał zdziwiony, odpowiadając szczerze.

— Rzeczywiście nie widzę.

Spokojna odpowiedź przygwoździła Brutanka.

— A naszych różnic w klasach społecznych, towarzyskich, majątkowych?

— I tu ich nie widzę!... Zresztą co będziemy o tem dużo mówić — zamknął mu usta. Wyjaśnię panu krótko właściwy powód. Otóż nie powoduje mną żadna wdzięczność za uratowanie życia córki, ale widzę, że rozłączenie was równałoby się nowej katastrofie. Nie mogę się więc niczemu sprzeciwiać, gdyż przedewszystkiem zależy mi na życiu dziecka. Zostaliście połączeni „dziwami życia“ — miłość wasza zrodziła się w niezwykłych warunkach, jest zatem odmienną niż inne. Pan, jako człowiek, zupełnie mi odpowiada, z chęcią oddaję mu rękę jedynaczki. Proszę na ten temat więcej nie mówić.

Następnego dnia przyjechali do zamku.

(Dokończenie nastąpi).

EUGENJUSZ CHAVETTE.

Tajemnicza zbrodnia.

ROMANS KRYMINALNY.

(Ciąg dalszy)

Desormeaux w dniu objęcia mieszkania po nieboszczce pani Dargon, miał poraz czwarty stanąć przed swą narzeczoną.

Przyszedłszy do domu Cambarta, spotkał się w bramie nos w nos z wychodzącym giełdziarzem.

— A! — odezwał się ojciec — przychodzisz do nas na obiad?

— Tak, albożnie powiedziałeś mi, żebym od czasu do czasu dał znać o sobie.

— Ale bo dziś źleś wybrał dzień.

— Czy panna Cambart jest słaba?

— Nie, tylko ja jej nablagowałem, ażeby być wolnym dzisiaj i już myślałem drapnąć.

I, biorąc Cezara pod rękę, chciał go za sobą pociągnąć, dodając:

— Chodź ze mną, lepiej się tam sto razy zabawisz, niż tu na górze.

Może zdziwimy czytelnika, oświadczając, iż młodzieniec był bardzo mało zadowolony z proponowanej zmiany przepędzenia wieczoru.

Bo musimy powiedzieć, iż na Cezara podziałała piękność Gabrjeli. Jakkolwiek strwonił już część swego majątku i stracił wszelkie złudzenie, prowadząc to życie hulaszcze, które w końcu ogłupia tych, których nie zabija, daleki jeszcze był od takiego moralnego zepsucia i cynizmu, jakiemi się odznaczał Cambart, którym pogardzał.

Od pierwszego dnia zajął się Gabrjelą, której nie mógł podejrzewać o oschłość serca i złą naturę. Powiedział sobie, że trzeba ją jak najprędzej odsunąć od niebezpiecznego sąsiedztwa z ojcem, który niezawodnie źle kierował swą córką, pozostawiając ją bez rady i wskazówek.

Desormeaux chciał więc odgrywać rolę opiekuńczą, ale wkrótce się spostrzegł, że w nim się odezwało inne jeszcze uczucie. Przyznać się Cambartowi, że się zakochał, byłoby się to narazić na drwiny z tej strony, bo ten człowiek kpił ze wszystkiego na świecie.

Tym razem jednak wcale mu się nie uśmiechała myśl spędzenia wieczoru nie u swej narzeczonej.

Chciał z sobą pociągnąć przyszłego teścia i zawrócić do domu.

Ale ten z gniewem się odezwał:

— Mój kochany, jeżeli takim chcesz być moim zięciem, jeżeli mnie chcesz gwałtem krępować, to wiesz... jeszcze nie wszystko skończone.

— Ależ...

— Ależ ty nie masz pojęcia, jak się doskonale możemy zabawić... W małem kółku, bardzo małem... ale nowe dwie perełki... prawdziwe perełki!

Poczem z uśmiechem dodał:

— Nie wiem doprawdy, gdzie to moje bydlę mogło takie wyszukać.

— Kogo nazywasz swojem bydlęciem?

— A, prawda, nie powiedziałem ci jeszcze, że od czterech dni przyjąłem do swego domku służącego, który także jest prawdziwą perłą w swoim rodzaju... W lot poluje jaskółki pieczone.

— Doprawdy?

— Ależ tak, nieoceniony jest ten Stanisław.

— Co! Stanisław? — powtórzył żywo Cezar, któremu to imię w tejże chwili przypomniało dramat przy ulicy św. Honorego.

— Tak, ale błagał mnie, ażebym go nazywał Lefleurem.

— I jest u ciebie dopiero od czterech dni?

— Co! to ty go znasz, figlarzu? — zapytał Cambart, zdziwiony nagłą zmianą głosu młodzieńca.

Ale już Desormeaux powiedział sobie, że na świecie więcej jest Stanisławów i że przed wyjawieniem podejrzeń, równych oskarżeniu, należałoby najprzód zobaczyć tę osobistość, mieniącą się Stanisławem.

Jakkolwiek więc pamiętał doskonale twarz i postawę całą hultaja, który mu pokazywał mieszkanie, ale zamiast zadawać dalsze pytania, poprzestał na odpowiedzi.

— Tak, znałem kiedyś pewnego Stanisława. To był mały, niezgrabny, chuderlawy człeczyna...

— O! to więc nie ten... mój jest wielki i dorosły, doskonale zbudowany — odparł hulaka, w chwili gdy dochodził do powozu.

Desormeaux byłby bezwątpienia zgodził się natychmiast pojechać do Passy, ażeby się upewnić co do tożsamości Stanisława, gdyby nagle nie był spostrzegł zdaleka osobistości, która również jak i imię lokaja, przypominała mu sprawę Dargonów, na chwilę zapomnianą.

Oto od strony Palais Royal, chodnikiem, po stronie tej ulicy, gdzie wznosiła się kamienica Cambarta, zwolna szedł pan Leon Barantel.

Tak samo, jak Cezar, ubrany był czarno i w krawacie białym, a nadto w ręku niósł ogromny bukiet, który starał się chronić od potrącania przechodniów.

— Czyżby on szedł w konkury do jakiej panny tu, w bliskiem sąsiedztwie? — zapytał sam siebie Desormeaux, na widok młodego i bogatego właściciela.

Ale jeszcze większa go czekała niespodzianka, bo Leon Barantel, przybywszy przed mieszkanie Gabrjeli, zniknął w bramie domu.

Cezar mimowoli poczuł pewien niepokój.

Zbyt dobrze znał on Cambarta, iż mógł przypuszczać, że gotów jest uganiać się naraz za dwoma zającami, to jest dwoma zięciami.

Pomyślał sobie, że umyślnie chciał go zawieść do Passy, ażeby tymczasem ułatwić konkury innemu kandydatowi do ręki Gabrjeli.

W tejże chwili giełdowicz zapytał:

— Cezarze! Chociaż ja nie lubię mówić o interesach po godzinie szóstej, muszę cię o coś zapytać.

— Mów.

— Ty, co znasz prawie cały Paryż, nie mógłbyś mi dać wiadomości o niejakim Leonie Barantel, którego powszechnie mają za bardzo bogatego?

Na to nazwisko serce Cezara żywiej zabiło.

— Nie... a to dlaczego?

— Bo, jak mi mówiono, ten pan ma wkrótce zawiązać wielkie towarzystwo na akcjach, a ja pragnąłbym też w tym interesie zaryzykować parę setek tysięcy.

I przy tej odpowiedzi Cambart kazał woźnicy jechać, a na pożegnanie rzucił te słowa młodzieńcowi:

— Do jutra więc, ponieważ dziś nie chcesz widzieć pereł.

Zapytanie o Barantela zastanowiło Cezara i zarazem przyszła mu myśl:

— Czy ten hultaj nie jest tak dalece bezczelny, iż jeszcze kpi sobie ze mnie.

Narazie miał ochotę zajść do mieszkania Cambarta i przekonać się o prawdziwości swoich podejrzeń.

Ale zbyt dobre wyobrażenie zachował o Gabrjeli, ażeby i ją pomawiać o komedję. Nie chciał jej zastać samą, nie chciał się uczuć wobec niej zakłopotanym.

Zamiast więc udać się do lokalu Cambarta, poszedł do jednej z pierwszorzędnych restauracyj, gdzie spożył obfity obiad, poczem wrócił do swej nowej siedziby i położył się prędko do łóżka.

Stało ono tuż przy przepierzeniu, poza którem mieścił się dawniej pokój sypialny pani Dargon.

I Cezar, przymykając oczy, widział jeszcze przed sobą we wspomnieniach tę śliczną, czarującą blondynkę:

— Biedna! biedna kobieta! — wyszeptał, prawie już usypiając.

ROZDZIAŁ III.

I wkrótce Cezar zapadł w głęboki sen, potem jak się to dzieje zwykle z każdym, gdy śpi w miejscu dla siebie nowem, sen jego stał się nerwowym, niespokojnym i nasz bohater obudził się, gdy na zegarze biła godzina trzecia.

Z wściekłością zagłębił głowę w poduszkę, zamknął oczy i leżał wreszcie nieruchomo w nadziei, że uśnie. Ale sen nie przychodził.

Rozdrażniony więc bezsennością, odwrócił się na łóżku, mrucząc:

— Słowo honoru, rzec możnaby, że to mieszkanie złowrogie jest dla lokatorów. Tu albo człowieka zabiją, albo umrzeć może z bezsenności.

I teraz nos nieledwie oparłszy o przepierzenie, zamknął oczy i znów leżał nieruchomo, mówiąc:

— Sen może nareszcie mnie zmoży; nie ruszajmy się.

Nagle pomimo tego przymusu, zadanego samemu sobie, żywo podniósł się na posłaniu i powtarzał na wszelkie tony niewysłowionego zdumienia:

— O! o! o!

Zdziwinie Cezara mogło być rzeczywiście ogromne, bo właśnie dał się słyszeć oddech regularny, ale tak ledwie dosłyszalny, że tylko przy głębokiej ciszy nocnej można go było zauważyć.

— To po tamtej stronie przepierzenia w pokoju zbrodni — pomyślał młodzieniec, nadstawiając uszu, i został znów nieruchomy, jakby posąg.

Najmniejszej wątpliwości nie było, że po drugiej stronie ktoś spał w łóżku pani Dargon.

Po pierwszem wrażeniu zdumienia nastąpił u Desormeauxa przestrach.

Wyskoczył prędko z łóżka i poszukał zapałek, gderząc głosem wzruszonym:

— A to piękna rzecz! w ładnych trapatach mogę się znaleźć względem sędziego! On by taki żart mógł sobie jak najgorzej wytłómaczyć!...

Bo oto Cezarowi zdawało się, że znalazł sposób logiczny wytłómaczenia tego faktu, który go tak zdziwił.

Ileż to razy jemu, jako kawalerowi, zdarzyło się otrzymać wizytę przyjaciółki, która, nie mogąc się go doczekać, nieraz się zdrzemnęła.

— Ale która z nich, która? — mówił do siebie. Uprzedziłem wszystkie stanowczo, że zrywam z niemi stosunki, bo się żenię... Ale musiała niezawodnie jedna z nich, jakaś ciekawska, przyjść tu, ażeby obejrzeć nową moją siedzibę.

Tak mrucząc do siebie, chodził tu i tam, od jednego kąta do drugiego, nigdzie nie mogąc napotkać zapałek.

— Ale która?... która?... — powtarzał do siebie. Będzie się miała czem pochwalić... Złamanie pieczęci!... Sądy nie żartują z takimi dowcipami!... Już widzę, jak mnie wzywają do sądu... A! te szatańskie zapałki! a jak nie potrzeba, to pełno ich pod nogami... trzask! i zaraz pożar!...

Wreszcie Cezar uczynił to, od czego powinien był zacząć, to jest sięgnął do kieszeni kamizelki leżącej na fotelu, i wydobył pudełko, napełnione zapałkami.

Poczem zapaliwszy świecę, rzekł:

— Przedewszystkiem zobaczymy teraz, jakie szkody porobiła ta, co tam śpi, ani przypuszczając, jakiego mi piwa nawarzyła.

Zaczął więc badanie od oględzin drzwi, które stanowiły komunikację między dwoma pokojami.

Pieczęcie, którym się przyjrzał przy blasku świecy, były nietknięte.

— Musiała wejść z drugiej strony — rzekł.

Opuścił pokój i przeszedł mieszkanie, ażeby się dostać do przedpokoju, gdzie się znajdował korytarzyk, prowadzący do pokoju mężowskiego, którego drzwi zamykały pieczęcie.

— O! do djabła! — zaklął Cezar, przejęty zdumieniem, kiedy zbliżył świecę do klamki.

Z tej strony pieczęcie były również nienaruszone.

Młodzieniec bardzo zamyślony powrócił do swego pokoju.

— No, no — mówił do siebie — wczoraj przy obiedzie piłem nieźle, czy czasem jeszcze nie mam w głowie tyle wina, że mi się mąci przytomność i widzę takie rzeczy, które nie istnieją wcale?

Stanął tuż przy przepierzeniu, i starał się zebrać całą przytomność, potem przyłożył ucho.

Oddychanie wciąż dawało się słyszeć.

Jaka myśl przebiegła przez głowę Desormeauxa, gdy stwierdził, że odgłos ten istniał rzeczywiście? wypadki to wyjaśnią później.

Jak na teraz powiemy tylko, że stał przez chwilę osłupiały przed drzwiami, potem zaklął z uśmiechem:

— O! do djabła!...

* * *

Nazajutrz zbudził go ze snu głos, pełen uszanowania:

— Śniadanie, proszę pana!

To Ignacy wszedł do pokoju z tacą w ręku.

— A cóż mi przynosisz?... — zapytał młodzieniec, który kończąc się ubierać, odwrócony był tyłem do stołu.

— Tak, jak mi pan rozkazał, mam zaszczyt przynieść herbatę i dwa jajka, bo to panu ma starczyć na śniadanie.

Zaledwie Ignacy skończył to zdanie, gdy Cezar już się obrócił i z miną zdziwioną, zawołał:

— Ja ci to powiedziałem, ja?...

Odźwierny spojrzał nań z gębą otwartą, z niekłamanem zdziwieniem.

— No, odpowiadaj — podchwycił Desormeaux — zamiast głupio wytrzeszczać oczy... Czy ja ci mówiłem, że chcę zawsze mieć na śniadanie tylko jajka i herbatę?

— Tak mi się zdawało, proszę pana, tak mi się zdawało — wybełkotał Ignacy wzruszony.

Potem po pewnej przerwie dodał:

— A nawet...

— A nawet co?... — zapytał młodzieniec tonem oschłym.

— Nawet pan mówił, że obiad zawsze pan jada na mieście.

Tym razem Cezar aż podskoczył ze zdumienia. Utkwił oczy w odźwiernego, mówiąc tonem surowym.

— Powinieneś mnie był uprzedzić...

— O czem powinienem był mieć zaszczyt uprzedzić pana? — odezwał się Ignacy nieśmiało.

— Że ty sobie niestety podpijasz. Wtedy bym nie tak prędko najął to mieszkanie.

Odźwierny rozpaczliwie uniósł ręce ku niebu, jakby je wzywał na świadectwo tego niesprawiedliwego oskarżenia, ale zanim zaprotestował, lokator powstrzymał go temi słowy:

— No, dosyć, nie powiększaj swej winy. A teraz posłuchaj, ale czy tylko jesteś w stanie mnie zrozumieć?

— Przysięgam panu, że od rana, wziąłem tylko kąpiel na nogi, bo ostatnie wypadki sprawiły mi uderzenie do głowy.

Cezar jakby się dał przekonać, bo podchwycił głosem już łagodniejszym.

— Otóż przynieś mi na śniadanie konfitur, ciastek i kremu... dziesięć butelek wina, pasztet z drobiu i bochenek czterofuntowy chleba.

— Czterofuntowy! — powtórzył odźwierny, zdumiony tym wzrastającym ogromem jedzenia, gdyż lokator przecież go dawniej uprzedził o swym małym apetycie.

— Tak... czterofuntowy i... całą szynkę.

Teraz Ignacy już nie miał czasu okazać przerażenia, bo Desormeaux pokazał mu drzwi, dodając rozkazująco:

— A teraz idź i zrób, co ci kazałem. Później powiem ci, co chcę mieć na obiad.

Po niedługim czasie Ignacy wrócił, dźwigając kosz, pełen artykułów spożywczych i butelek.

— No! Jesteś nareszcie... Czy masz szynkę?...

— Wszystko co pan kazał.

— To spiesz się, bo umieram z głodu.

Ignacy ustawił wszystko na stole tak, że zaledwie zostało miejsce na talerz.

— Ale ja trawić muszę w zupełnej samotności, ktokolwiekby ją zakłócił, popsułby mi trawienie... Pojmujesz...

— Więc proszę pana...

— Więc nie przychodź, póki cię sam nie zawołam.

Odźwierny skłonił się pokornie i, wyszedłszy na schody, rzekł do siebie:

— Nie może jeść, kiedy na niego kto patrzy! A cóż mi opowiadał, że jada co wieczór w swym klubie. Czyżby jak on je, inni chowali się pod stół?

Cezar musiał trawić bardzo ciężko, bo do godziny szóstej wieczorem nie dał znaku życia.

— Byleby tylko nie pękł, jak balon, zanadto wydęty — powtarzał odźwierny niespokojnie.

Wreszcie ukazał się lokator, elegancko ubrany, i oświadczył, że się rozmyślił i że nie będzie jadł obiadu w domu.

— Ba! po takiem śniadaniu! — pomyślał Ignacy. Poczciwiec przekonany już był, że Desormeaux ma małego bzika, a z pewnością bardziej jeszcze byłby się upewnił, gdyby za lokatorem podążył był na ulicę.

Cezar na środku ulicy zatrzymał się nagle, potem wybuchnął śmiechem, a potem jeszcze poszedł dalej, mrucząc:

— Niech mnie djabli porwą, jeżeli wiem, co mam robić... Ale w każdym razie to zabawne!

Rzecz zbyteczna powiedzieć, że udał się do Cambarta, gdzie miał jeść obiad z Gabrjelą.

Po drodze więc musiał przechodzić przez ogród Palais-Royal. Już się znalazł pośrodku ogrodu, kiedy znowu ta sama myśl, co mu wlazła do głowy, osadziła go na miejscu, a miał tak dziwną minę, że przechodnie na niego się oglądali.

I dobrą chwilę tak już stał, zapatrzony niby w wodotrysku, a nic nie widząc, gdy usłyszał głos pełen śmiechu:

— Jeżeli myślisz nad tem, gdzie mi można suknię kupić, to ci wskażę nawet tani magazyn.

— A! to ty! Krapiszetko? — rzekł młodzieniec, poznając tę, co go zaczepiła.

— Nie chciałeś być razem z nami u Cambarta wczoraj.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poradnik gospodarczy.

Leczenie bydła a zabobony.

Zdarzają się choroby, w których tylko bezzwłoczna pomoc zdoła zwierzę uratować. Ludność powinna tedy posiadać środki pod ręką i ludzi, którzyby je zastosowali. Ludzi, gdzieby ich nie było, nawet takich, coby się „znali na leczeniu", wszak lekarzy — powiada przysłowie — najwięcej na świecie. Toteż skoro zachoruje bydlę, zbiegają się ludzie i wszyscy radzą i ten radzi to, ów zachwala owo; ten się „podobno zna", ów coś słyszał, tamten coś widział. Trudno inaczej — radzić trzeba, czasem się trafi i niezła rada, choćby większa część chybiła celu.

Właściciel, zaniepokojny o byt swego dobytku, chętnie przyjmuje każdą radę i prosi: „radźcie ludzie co możecie", toteż radzą wszyscy i ratują, jak mogą i jak umieją: ten smaruje, ten naciera, ów leje coś do gardła, baba „sięga" do kiszki, a skoro nic nie pomaga, wychodzi na jaw „paskudnik", trzeba zdjąć paskudnika. Ostatnia ucieczka, niestety ucieczka do zabobonu.

Przybyłem raz przypadkowo na podobną scenę; jałówka najadła się koniczyny, wzdęło ją, żołądek wypełniony gazami (parami) mało nie pęknie. Cóż robili? Założyli patyk do pyska, omaziony, przywiązali w poprzek i pędzili co siły, potem polewali grzbiet zimną wodą i ugniatali brzuch pięściami. Dobre to są środki, gdyż sprawiają, że pary łatwiej się odbijają i łatwiej odchodzą kiszką. Także „sięganie" do kiszki może być do celu pomocne, byle nie szukać krwi nie drapać, lepiej atoli zamiast sięgania dawać enemę z zimnej wody, ku czemu służy osobna szpryca.

Pytam tedy: Zadawaliście co wewnątrz? Wlali nafty. Dobry to środek, ale dać go trzeba z pół litry lepszy jednak amoniak w ilości około 15 gramów, t. j. łyżkę na butelkę wody z wódką, zadać kilka razy taką samą ilość. Tego nie było pod ręką.

Wapno działa podobnie, ale słabiej. Daje się wody wymięszanej z wapnem gaszonem, t. zw. mleko wapienne, kilka butelek.

Pomaga też ług, tylko nie mocny. albo wprost popiół z wodą.

Tych środków nie było czasu próbować, bo bydlę już chwiało się na nogach i czas był najwyższy wypuścić gazy z żołądka; trzeba było przebić żołądek. Jest do tego osobny przyrząd, t. zw. trokar i ten powinien być w każdej wsi, ale nie było go pod ręką. Cóż tu trzeba czynić? Wyjmuję więc zwykły scyzoryk i wbijam śmiałem pchnięciem w brzuch w tem miejscu, gdzie u bydlęcia głodnego jest dołek słabiznowy, po lewej stronie. W tej chwili wydobywają się z sykiem śmierdzące pary, z niemi nieco zielonej karmy, brzuch opada, zwierzę przychodzi do siebie, niebezpieczeństwo minęło. Wyjmuję nóż, a zakładam w otwór rurkę z pióra gęsiego, aby tędy dalej się wydobywały. Po jakich 2 godzinach kazałem wyjąć rurkę, obmyć ranę, obetrzeć i przyłożyć zwykłej mazi wozowej, aby muchy nie siadały i dać soli glauberskiej na przeczyszczenie. Później dowiedziałem się, że rana w tygodniu się zagoiła i jałówka zdrowa, a byłaby zginęła, pomimo „zdjęcia paskudnika", co już chciano próbować.

Jużto z tym „paskudnikiem" cała bieda i prawdę powiedziawszy, wstyd i hańba dla naszego włościaństwa. Częściej niż przy opisanej słabości obwiniają „paskudnika" przy innych chorobach brzusznych u bydła, a są one wielorakie, lecz „znawcy" wioskowi wcale ich nie odróżniają. U nich paskudnik gryzie w brzuchu a wyłazi oczami. Sam słyszałem, jak jeden z nich opowiadał sąsiadom, jakto ten paskudnik się wysuwa. Oczywista więc, skoro takiego złoczyńcę się zobaczy, to pierwsza rzecz, wyciąć go nożem lub zdrapać pazurami i to się nazywa „zdejmowanie paskudnika".

Lecz cóż to jest za stworzenie ten „paskudnik", co gryzie w brzuchu, a wyłazi oczyma?

Otóż nie jest to nic innego tylko t. zw. „trzecia powieka". Bydlę tak jak i człowiek ma dwie powieki, a prócz tego jeszcze chrząstkową w wewnętrznym kącie oka, która w pewnych słabościach wysuwa się i przysłania nieco oko, podobnie jak i górna powieka przemyka się, kiedy bydlę chore.

Nie jestto więc, powtarzam, żaden paskudnik, ale część ciała, która nic w chorobie nie zawiniła; jej wysunięcie się jest tylko objawem choroby, jak objawem choroby jest spuszczenie głowy itd.

Wycinanie paskudnika jest prawdziwem zastosowaniem przysłowia: „ślusarz zawinił, a kowala powiesili". Ci, co wycinają paskudnika, wydają mi się podobni do takiego warjata, któryby chciał obciąć ogon bydlęciu, aby się nie gziło. Gzik nie siedzi w ogonie, choć bydlę ogon podnosi, jak go gzik (mucha) napadnie, tak samo nie siedzi choroba w oku, ani w trzeciej powiece, choć ta powieka w pewnych chorobach się wysuwa. Obcinanie jej, lub drapanie i solenie nic a nic nie pomoże, a jest tylko bezcelowem, a więc głupiem dręczeniem zwierzęcia.

Tego głupstwa powinniśmy się pozbyć raz na zawsze, a kto chce się bliżej zapoznać ze sposobami ratowania bydła, to niech czyta książki, które o tem piszą.

KRONIKA.

Ś. p. Michalina Mościcka. W ubiegły czwartek zmarła w Spale Michalina Mościcka, żona Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Zwłoki Zmarłej przewieziono do Warszawy, gdzie je pochowano w sobotę 20 b.m.

Pożar Szaflar. Około godziny 11 w niedzielę, kiedy ludzie byli w kościele na sumie, a wielu z nich udało się nawet na odpust do Ludźmierza, wybuchł z niewiadomej narazie przyczyny, pożar w zabudowaniach Andrzeja Antoszka, z których następnie przeniósł się na sąsiedni dom Feliksa Kamińskiego. Pożar z błyskawiczną szybkością począł obejmować i inne budynki tak, że wkrótce stanęło w ogniu kilkadziesiąt domów mieszkalnych i do 150 zabudowań gospodarczych. Oczywiście wobec rozszalałego żywiołu szczupła garść ludności miejscowej była bezsilna, a straże z Zakopanego, Nowego Targu i okolicznych wsi miały dużo do roboty, aby choć w części pożar zlokalizować. Pożar zagrażał również kościołowi, z którego wyniesiono już sprzęty i przybory kościelne, na szczęście jednak ognia do kościoła nie dopuszczono. Straty są olbrzymie, a jak prowizorycznie obliczają, dojdą do pół miljona złotych.

Katastrofa samochodowa. Samochodem pewnego żydka z Wiśnicza wybrała się wycieczka do Zakopanego, złożona z kilkunastu osób. Autobusem kierował sam jego właściciel. Kiedy autobus znalazł się na tak zwanem Wysokiem koło Nowego Sącza, uległ katastrofie, w czasie której pięć osób zostało ciężko rannych, a kilka lżej. W czasie przewożenia rannych do szpitala zmarła J. Łazarska, żona sędziego z Wiśnicza, której pękły narządy wewnętrzne, w szpitalu zmarł zaraz po przywiezieniu go, S. Rosiek, 12 letni syn sekretarza sądowego z Wiśnicza skutkiem pęknięcia płuc, zaś następnego dnia umarła Aniołówna Stanisława, uczennica V kursu Seminarjum, pochodząca z Wiśnicza. W szpitalu pozostają jeszcze dwie osoby ciężko ranne. Właściciela autobusu aresztowano. Powodem katastrofy był brak hamulca u autobusu.

Aresztowanie oficera. Od dłuższego czasu krążyły po Rzeszowie pogłoski, że płatnik 20 pułku ułanów, porucznik Derkacz, ma w kasie pułkowej jakieś nieporządki. Pogłoski te doszły do wiadomości żandarmerji, która wszczęła dochodzenia. Przeprowadzono rewizję w mieszkaniu Derkacza, wskutek której aresztowano go i przewieziono do Przemyśla. Podobno stwierdzono brak w kasie 10 tysięcy złotych.

W obronie księdza. Władze kościelne usunęły za nienależyte spełnianie obowiązków kapłańskich proboszcza w Kańczudze w powiecie przeworskim, ks. Franciszka Pawłowskiego, a wyznaczyły na administratora ks. Wąsika z Przemyśla. Gdy ksiądz Wąsik przybył do Kańczugi celem odebrania probostwa, ktoś zaalarmował parafjan dzwonami. Przed plebanją zebrał się tłum zwolenników ks. Pawłowskiego i przybrał wobec ks. Wąsika wrogą postawę. Przeważały tu kobiety. Ks. Wąsik, chcąc uniknąć większych awantur i przeczekać wzburzenie tłumu, ukrył się w wikarówce, gdzie go zamknięto na klucz. Od tej chwili tłum oblegał kościół i budynki proboszcza, w których poczęto gospodarować. Stan ten trwał przez dwa dni. Na wiadomość, że tłum zażądał kategorycznie od księdza Wąsika, aby stanowczo opuścił Kańczugę, udał się na miejsce starosta powiatowy z większym oddziałem policji. Gdy tłum z krzyżem w ręku zagrodził policji dostęp do budynku parafjalnego i mimo trzykrotnego wezwania nie ustąpił, rozpędzono go przy pomocy pałek gumowych. W związku z zajściami aresztowano trzy osoby, a to b. nauczyciela A. Pojniaka i dwie starsze kobiety, poczem nastąpił spokój, zwłaszcza, że ks. Pawłowski opuścił po cichu Kańczugę. Postępek mieszkańców Kańczugi należy stanowczo potępić, gdyż rzeczą władz duchownych jest wydawać potrzebne zarządzenia, a parafjanie muszą się im poddawać. Gdyby ks. Pawłowskiego spotkało nawet niesłuszne wydalenie z parafji, to może on poszukiwać sprawiedliwości, którą wcześniej czy później uzyska, jeżeli nie winien, zaś ks. Wąsik spełnił tylko swój obowiązek, więc nie było potrzeby przeciw niemu występować.

Prosiak zabił szwagra. Ohydnej zbrodni dokonano w Rozburzu w powiecie jarosławskim. We wsi tej na polu powstała kłótnia na tle majątkowym między rolnikiem Antonim Prosiakiem, a jego szwagrem Michałem Ochyrą. W trakcie kłótni Prosiak zadał szwagrowi cios w plecy kosą tak, że ostrze przeszło na wylot. Ciężko ranny Ochyra padł na miedzę, o którą prowadził spór z Prosiakiem i po kilku minutach wyzionął ducha. Zabójcę aresztowano.

Wielkie włamanie w Przemyślu. W nocy z soboty 13 bm. na 14 bm. włamali się nieznani sprawcy do sklepu jubilera Izraela Apta przy placu Na Bramie w Przemyślu i zabrali złote zegarki, papierośnice, pierścionki w łącznej wartości dwanaście tysięcy złotych. Włamywacze dostali się do sklepu zapomocą podkopu tak, że wyszli z kamienicy rano zupełnie niespostrzeżeni. Jak wskazują ślady, włamania dokonali zawodowi włamywacze.

Zawiedzione nadzieje służącej. Że niemal każda dziewczyna ma ochotę wyjść zamąż, to rzecz wiadoma, jak i to dobrze wiadomo, że na tem tle najłatwiej ją „wykiwać". Tak wykiwać czyli inaczej oszukać dała się Antonina Nowosad, służąca we Lwowie. Dziewczyna ta poznała niejakiego Jana Przyjałkowskiego, który oświadczył się o jej rękę. Uszczęśliwiona, że przynajmniej jeden taki się znalazł, przyjęła jego oświadczyny i wkrótce na poczet kosztów ślubu dała mu 200 złotych. Przyjałkowski nie był samolubem, więc też zapoznał dziewczynę z przyjacielem swoim niejakim Marjanem Borkowskim. Po kilku dniach wspólnej znajomości zjawił się u nadobnej Antosi Borkowski, blady, jak trup, i powiedział jej, że policja aresztowała Przyjałkowskiego. Można go wprawdzie uwolnić, ale za wykup żądają 300 złotych. Ponieważ dziewczynie bardzo chciało się wyjść zamąż, więc wręczyła Borkowskiemu żądane 300 złotych. Ale jak to mówią, ani posła, ani osła; upłynęło kilka dni, a Antosia nie zobaczyła ani swojego ukochanego ani jego zastępcy. Do zrozpaczonej dziewczyny przybył jednak trzeci spólnik, niejaki Władysław Radomiak, który opowiedział jej, że Borkowskiego również aresztowano, gdy chciał przekupić strażników więziennych. Za wypuszczenie odbydwóch aresztowanych żądają teraz 500 złotych. I tym razem łatwowierna dziewczyna dała żądaną kwotę, ciesząc się, że już, już przestanie być panną. Ale i teraz zawiodła się. Jeszcze bardziej zrozpaczona udała się na policję z zażaleniem, a ta po dłuższem śledztwie ujęła całą trójkę i osadziła w areszcie. I tak znów Antosia jest nadal panienką do wzięcia, bo narzeczony i jego mili towarzysze pod kluczem, ale tym razem jest ona już bez pieniędzy, bo te dawno wyłżygrosze roztrwonili.

Pożar w Dublanach. W Dublanach w powiecie samborskim wybuchł pożar w stodole Józefa Pakrosa, który przerzucił się następnie na inne budynki. Spłonęło ogółem szesnaście zabudowań wartości około 15 tysięcy złotych, a nadto 2 konie, 1 krowa, 2 cielęta, 3 świnie i około 50 sztuk drobiu. Zachodzi podejrzenie zbrodniczego podpalenia.

Straszna katastrofa samochodowa. O godzinie 11 w nocy pędził od strony Wielkich Hajduk ku Katowicom na Górnym Śląsku samochód osobowy, prowa-

dzony przez pijanego Leopolda Pipieca z Katowic. Od strony Katowic w kierunku Wielkich Hajduk jechała platforma, udekorowana zielenią, zaopatrzona ławkami, ciągnięta przez parę koni, na której znajdowało się 21 wycieczkowców. Furmanka jechała prawidłowo prawą stroną szosy i była jasno oświetlona lampą karbidową, natomiast samochód pędził z gwałtowną szybkością nieprawidłowo. W pewnej chwili w całym pędzie samochód ów wpadł na furmankę. Skutki były straszne. Furmanka wywróciła się na szyny tramwajowe, a wszyscy pasażerowie powypadali bądź na lewą, bądź na prawą stronę szosy. Rozległy się straszne krzyki ciężko i lekko rannych. Samochód rozbił się doszczętnie. Jeden koń został zabity na miejscu, ciężko ranni zostali Marta Czajkowa i Herbert Günter. Szofer wyszedł bez szwanku w myśl zasady że pijany ma szczęście. Z 21 osób jadących furmanką 6 zostało bardzo ciężko, 14 lżej rannych. Pijaczynę szofera aresztowano, cieżko rannych odwieziono do szpitala, lżej ranni udali się użyczonymi im samochodami do domów.

Samobójstwo pod w pływem snów. W Warszawie otruła się niejaka Helena Miciboruk. Helena po utracie rodziców jeszcze jako dziecko uciekła z Rosji do Polski. Tu dostała zajęcie w jednym z zakładów przemysłowych w Warszawie. Przez jakiś czas żyła spokojnie, ale w ostatnich dniach zaczęła się skarżyć, że w śnie ukazują jej się rodzice i wzywają ją do siebie. Biedna dziewczyna tak się przejęła temi snami, że pod ich wpływem zażyła trucizny, czem pozbawiła się życia.

Tragiczny wyścig chłopskich furmanek. Na szosie z Dobrej do Kalisza między wieśniakami, jadącymi na dwóch furmankach, wynikł spór, a że wieśniacy byli podchmieleni, zanosiło się na bójkę. Rozważniejsi chłopi, chcąc uniknąć awantury, zaproponowali, aby spierający się rozstrzygnęli spór w drodze wyścigu. Kłócący zgodzili się na to, zacięli konie i puścili się w największym pędzie po szosie. W największym jednak galopie obydwie furmanki zderzyły się ze sobą. Skutki zderzenia były fatalne. Oba wozy rozbiły się doszczętnie, a z pod ich szczątków wydobyto włościanina Pałusznego z rozbitą głową i połamanemi rękami, tudzież drugiego wyścigowca, Suszkę, z połamanemi nogami i żebrami. Pałuszny zmarł w kilka minut, Suszko nieco później.

Tragiczny koniec włamywacza. Patrol policyjny w Poznaniu zauważył w nocy jakiegoś osobnika, mocno podejrzanego. Gdy się zbliżono ku niemu, ten zaczął uciekać. Policjanci puścili się za nim. Uciekinier począł wówczas strzelać do policjantów, na co ci również odpowiedzieli strzałami. Jedna z kul trafiła owego osobnika w piersi i położyła go trupem na miejscu. Jak się przekonano, zabitym był znany włamywacz Leon Szafrański, karany już kilkakrotnie za włamania i kradzieże. Znaleziono przy nim rewolwer i większą ilość naboji.

Rozdawca posad. Zdawało się dawniej, że praca jest karą Bożą za grzech, popełniony przez pierwszych rodziców w raju, i że na odpokutowanie tego grzechu ludzie pracować muszą. Ale jakżeż czasy się zmieniły! Dziś pracy nikt nie uważa za karę Bożą, ale za błogosławieństwo Boskie i za szczęśliwego uważa się ten, kto ma możność pracowania. Poszukują też ludzie pracy i nieraz za wyszukanie jej gotowi są dobrze zapłacić. Fakt ten postanowił wyzyskać Włodzimierz Chmielewski w Grudziądzu. W tym celu założył biuro „Posłaniec" i zaczął do niego angażować urzędników i służbę. Chętnych do pracy zgłosiło się dużo, a Chmielewski przyjmował wszystkich bez trudności, żądając jedynie złożenia kaucji od jednego do dwóch tysięcy, od służby żądał mniej. Kiedy już zebrał dostateczną ilość kaucyj, ulotnił się bez śladu. Zaangażowani urzędnicy zostali nadal nietylko bez pracy, ale utracili nadto zaoszczędzone pieniądze, za które pohula sobie przemyślny Włodziu, póki go policja nie zamknie do „paki".

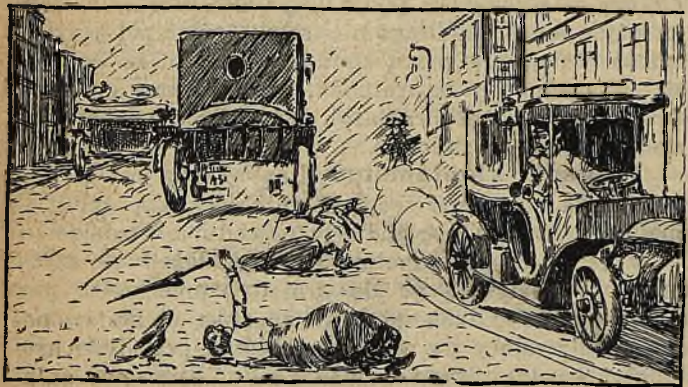
Wędrowny podpalacz. Czasem człowiek pozostaje mimowoli w kłopocie z własnem sumieniem i nie wie, co ma począć. Weźmy na przykład taki wypadek: zgłasza się do nas jakiś podróżny i prosi o nocleg. Nie znamy go, więc nie wiemy, czy to człowiek uczciwy, czy może bandyta. Jeżeli człowiek uczciwy, należałoby go przyjąć i ugościć, ale jeżeli to bandyta, to mniejsza przyjemność. Z tego też powodu ostrożniejsi nawet ludzi porządnych na noclegi nie przyjmują. Ale taki człowiek zrozumie położenie odmawiającego i pójdzie dalej. Gorzej jest, gdy się trafi na opryszka, bo ten przyjęty gościnnie pod dach może okraść przyjmującego, a nieprzyjęty gotów się zemścić za odmowę. Taki właśnie wypadek zaszedł w Gnieźnie. Do domu pani Klary Bogackiej, leżącego za miastem, przyszedł jakiś podróżny z prośbą o nocleg. Pani Bogacka, ponieważ mąż bawił w Gdyni, obawiała się wpuścić pod dach nieznanego człowieka. Pomimo natarczywości podróżnego nie otworzyła drzwi i położyła się spać. Długo nie trwało, może pół godziny, a może mniej, gdy panią zbudziły okrzyki, że dom się pali. Rzucono się na ratunek, ale zdołano uratować tylko meble i różne drobiazgi, zaś cały dom mieszkalny i stodoła spłonęły zupełnie.

Tragedja kleptomana. Kleptomanja jest to choroba, która polega na tem, że dotknięty nią człowiek popełnia kradzieże bez żadnego powodu, nie zdając sobie w danej chwili zupełnie sprawy. Jeżeli to czyni biedny, to zamykają go do aresztu i przechodzą nad nim do porządku dziennego. Ale zdarzają się kleptomani bogaci, opływający we wszystko, którzy przy lada sposobności kradną nawet drobne kwoty, które nie przynoszą im żadnego pożytku. Przychwyceni przypadkowo na gorącym uczynku, nie mogą wytłomaczyć, dlaczego to uczynili, a nawet nie zdają sobie sprawy, że coś podobnego uczynili. Takim kleptomanem był Ernest Geiringer, kierownik jednego z banków wiedeńskich, człowiek bardzo bogaty. Bawiąc na letnisku w St. Gilgen, wstąpił do trafiki, aby zakupić papierosów. W chwili, gdy trafikantka wyszła do przyległego pokoju, Geiringer sięgnął do szuflady i przywłaszczył sobie 50 szylingów. Przychwytanego na gorącym uczynku aresztował żandarm i przyprowadził na pobliski posterunek, gdzie aresztowany nie zaprzeczał, iż wziął owe pieniądze, ale sam nie może zdać sprawy, dlaczego to uczynił. Po spisaniu protokołu zamknięto go w areszcie, gdzie nieszczęśliwy dostał ataku rozpaczy, krzycząc, że nie przeżyje tej hańby. Jakoż dotrzymał tego, o czem mówił, bo jeszcze tej samej nocy powiesił się w swej celi więziennej. Geiringer zapadł na kleptomanję jeszcze w roku 1927 i od tego czasu popełnił kilkadziesiąt drobnych kradzieży, nie zdając sobie zupełnie sprawy z swoich czynów.

Zwyciężczyni zawodowego uwodziciela. W jednym z wiedeńskich sklepów pracował niejaki Eugenjusz Bonhardt, młodzieniec mogący rzeczywiście podobać się kobietom. Podobał się im też więc bardzo, bez względu czy one były młode, czy stare, ładne, czy brzydkie. Piękny Genio postanowił to wykorzystać na swój sposób. Mając taką łatwość zdobywania serc niewieścich, zdobywał jedno po drugiem i trzymał je tak długo na uwięzi, dopóki z właścicielki serduszka nie wyciągnął całej gotówki. Potem, jak to mówią ordynarnie, puszczał je w trąbę. Interes szedł dość długo dobrze, wreszcie jednak zawiedzione niewiasty poskarżyły się policji i Genio znalazł się w kryminale. Śledztwo toczyło się czas długi, aż wkońcu przybrało obrót, jakiego sam Genio najmniej

się spodziewał. Oto z dniem każdym odpadała jedna oskarżycielka, aż w końcu liczba stopniała tak że pozostała tylko jedna, inne cofały swe skargi. Ta jedna była córką pewnego adwokata. Panienka ta, która widać po ojcu odziedziczyła wiele sprytu, napisała do swego byłego narzeczonego list, w którym doniosła mu, że wykupiła od swych rywalek ich pretensje, które przeto wszystkie skupiają się w jej ręku. Jest gotowa bronić ich do upadłego i jest pewna wygranej, proponuje mu jednak zgodę i cofnięcie skargi pod warunkiem, że dopełni danego jej niegdyś przyrzeczenia małżeństwa. Cóż było robić? Biedny Genio nabrał pewności, że taka przebiegła kobieta nigdy nie zginie z głodu, a on przy niej, zgodził się na małżeństwo i opuścił więzienie. Pytanie, czy nie pożałuje swego kroku, bo czasem lepiej w kryminale, aniżeli przy zbyt kochającej małżonce.

Skutki szalonej jazdy autem. Szybkość jazdy automobilowej w większych miastach jest policyjnie ustaloną. Nie wszyscy kierujący autami tej przepisanej szybkości się trzymają. Wielu pędzi na oślep, co pociąga za sobą wiele ofiar w ludziach.



Onegdaj w Wiedniu szła matka z córką i gdy jedną z najruchliwszych ulic przechodziły, z szaloną szybkością najechał je samochód i obalił na bruk z taką siłą, że w parę godzin bie nieszczęśliwe rozstały się z życiem.

Na dnie studni. W Neumunster w Niemczech przy wydobywaniu kamieni w starej studni wydarzył się niezwykły wypadek. Oto kiedy praca była już na ukończeniu, trzech robotników zeszło po raz ostatni do studni. W tej chwili osunęła się ziemia i zasypała ich zupełnie. Rzucono się natychmiast na ratunek i po niedługiej chwili zdołano odgrzebać głowy dwóch robotników. Żyli jeszcze, choć ziemia ściskała ich ze wszystkich stron. Teraz ostrożnie zaczęto odgrzebywać ziemię wokoło nich i po niejakim czasie wyciągnięto ich żywych i zupełnie zdrowych. Trupa trzeciego wydostano dopiero po trzech kwadransach z 7 metrowej głębokości.

Zamordowanie księcia Edgara Burbońskiego. W małym hotelu w Paryżu został zamordowany książę Edgar Burboński. W niedługim czasie po znalezieniu go z poderżniętem gardłem zgłosiła się na policji pewna kobieta, która zeznała, że to ona dokonała morderstwa w obronie własnej. Jak opowiadała, żyła ona na stopie bardzo poufałej z księciem, który jednak był biedny. Książe chciał ją nakłonić do stałego zamieszkania z nim, ale ze względu na jego ubóstwo kobieta owa nie chciała się na to zgodzić. Wówczas przyszło pomiędzy kochankami do sprzeczki, w czasie której książę rzucił się z brzytwą na nią. W obronie własnej wyrwała mu brzytwę i zadała nią kilka śmiertelnych ciosów. Tak twierdziła morderczyni, śledztwo i oględziny zwłok wykazały jednak, że opowiadanie o walce z księciem jest nieprawdziwe. Ciosy, zadane zmarłemu brzytwą są tak głębokie, że głowa została odcięta od tułowia, co świadczy, że zostały zadane gdy książe spał. Również poduszka, na której leżał książę, jest pocięta brzytwą. Dalsze śledztwo wykryje niewątpliwie dokładnie szczegóły potwornego morderstwa. Morderczyni nazywa się Kudelan Blansler i pochodzi z Saragossy w Hiszpanji. Zamordowany książę był bliskim kuzynem cesarza austrjackiego Franciszka Józefa I.

Niebywały wyścig. W tych dniach rozpoczął się niebywały wyścig pomiędzy dwoma Anglikami: kapitanem Benion a komendantem statku pasażerskiego „Manora". Kapitan Benion założył się o to, że przebędzie on autem tę samą przestrzeń w czasie szybszym, niż okręt „Manora". Kapitan statku przyjął zakład i wyścig się rozpoczął. Przestrzeń ta z Londynu do Kalkuty w Indjach, wynosi morzem 8 tysięcy mil angielskich. W chwili, gdy piszemy te słowa, statek „Manora" przebył już 2.800 mil, zaś kapitan Benion znajduje się w Aleppo. Jak była uciążliwa jego dotychczasowa podróż, świadczą o tem takie dwa fakty. Oto w Belgradzie, stolicy Jugosławji. stracił on 14 godzin na wyciągnięcie samochodu z błota, zaś w Sofji, stolicy Bułgarji, został zatrzymany przez policję celem stwierdzenia tożsamości i przesiedział w komisarjacie 11 godzin. Teraz jednak oczekują go największe trudności. Z Damaszku do Bagdadu jechać on będzie pod eskortą konwoju, gdyż prywatne podróże na drodze tej są wzbronione. Na statku „Manora" podróżni poczynili wysokie zakłady, który z dwóch śmiałych podróżników przybędzie pierwej do Kalkuty.

Nowy syn lotnika. Wielkiej wrzawy narobiło przed niedawnym czasem uprowadzenie małego synka sławnego lotnika Lindbergha, którego potem znaleziono nieżywego z roztrzaskaną głową. Pan Bóg pocieszył jednak stroskanych rodziców, bo jak donoszą z Nowego Jorku, pani Lindbergh powiła nowego chłopaka. Amerykanie cieszą się tem bardzo, jakby to było coś nadzwyczajnego.

Roztargniony złodziej. Miljoner amerykański, Vanderbilt, miał niezwykłą przygodę ze złodziejem salonowym. Oto pewnego razu skradziono mu w salonach gry drogocenną szpilkę, która wartała kilkadziesiąt tysięcy. Vanderbiltowi nie tyle rozchodziło o materjalną stratę, co o to, że szpilka owa była dla niego cenną pamiątką. Zawiadomił więc tajnego policjanta, który miał czuwać nad salonem gry, o wypadku. Po niejakim czasie zjawił się policjant przed Vanderbiltem w towarzystwie jakiegoś eleganckiego pana. Pan ów poprosił miljonera o chwilkę rozmowy na osobności, a gdy znaleźli się sam na sam, wyjął z kieszeni kilkanaście szpilek i rzekł: „Wybacz pan, nie pamiętam dokładnie, która szpilka pańska... Oto zdobycz moja dzisiejszego wieczoru..." Vanderbilt przypatrywał się bezczelnemu rzezimieszkowi i po chwili był napowrót w posiadaniu swojej szpilki.

Miljon dolarów dla polskich żydów. Nie da się zaprzeczyć, że żydzi potrafią na wszystkiem robić dobre interesa. Robią je też i na obecnym kryzysie gospodarczym. Tak, jak zresztą wszyscy, i żydzi obecnie mają się gorzej, aniżeli przed laty. Katolicy nie kupują, bo nie mają pieniędzy, żydzi nie sprzedają, bo nie mają komu. Postanowili to jednak wyzyskać i ogłosili w Ameryce, jakoby żydzi w Polsce cierpieli wyjątkową nędzę. Żydzi amerykańscy, myśląc że żydzi w Polsce są prześladowani i dlatego cierpią nędzę, poczęli zbierać dla nich pieniądze i zebrali ich aż miljon dolarów. Że pieniądze te otrzymają nasi żydzi, nic nam to nie zaszkodzi, ale i owszem, im więcej napłynie dolarów do kraju, tem lepiej. Przydadzą się.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

RZECZY CIEKAWE.

Kobieta japońska.

Utarło się już zdanie, że stanowisko kobiety w Japonji nie odpowiada dostojeństwu macierzyństwa, że kobieta jest tam podwładna w rodzinie, najpierw ojcu, potem braciom a następnie mężowi.

Jeżeli ktoś zarzuca Japonji, że nie dopuściła kobiet do korzystania z praw wyborczych, to nie należy zapominać, że kulturalna Francja robi to samo.

W rzeczywistości stanowiska kobiety w Japonji nie można nazwać poniżającem.

Jest ono może nieco więcej skrępowane, niż stanowisko kobiety europejskiej, kobieta japońska faktycznie bowiem podlega mężowi, faktycznie nie posiada możności pracy publicznej w takim stopniu, jak to się dzieje w Europie, ale z tem wszystkiem daleko jeszcze do upośledzenia.

Japonka poświęca się cała rodzinie. Dom jej jest świątynią, gdzie ona panuje niepodzielnie, jeżeli chodzi o dzieci i męża. I dopiero, gdy wychodzi poza próg ogniska domowego, styka się z rzeczywistością, która nie chce jej przyznać jeszcze tych wszystkich praw, które europejki posiadają oddawna.

Po zamążpójściu Japonki stają przed jej dalszem życiem dwa główne zadania. Pierwszem jest wychowanie dzieci, drugiem podtrzymywanie męża w ciężkich chwilach jego życia publicznego. Podtrzymywanie to jest, rzecz jasna, natury moralnej.

Te dwa zadania wypełniają treść życia nowoczesnej Japonji.

Są one tak święte dla Japonki, że zapełniają jej dzień i wypełniają życie. Nie ma ona ani czasu, ani chęci rywalizowania z mężem na polu działalności publicznej.

W historji wychowania publicznego, w historji kształtowania obyczajów ludu, matka japońska ma karty zapisane złotemi zgłoskami. Toteż każda kobieta japońska po latach długich małżeństwa cieszy się wielkim szacunkiem męża i dzieci.

Jak kobieta japońska poświęca się bez zastrzeżeń domowi, tak syn musi poświęcać się bez zastrzeżeń państwu.

Historja okularów.

Profesor chorób ocznych na uniwersytecie w Utrechcie, Dr Weve, ofiarował holenderskiemu muzeum historji medycyny swój niezmiernie interesujący zbiór starożytnych okularów. Przy tej okazji wygłosił prof. Weve w nowym szpitalu w Lejdzie odczyt o dziejach okularów w świetle badań nad ich powstaniem i rozwojem aż do dzisiejszego ich kształtu.

Okulary, jak twierdził prelegent, są wynalazkiem europejskim z wieku trzynastego. Naukowe prace arabskiego uczonego Al Hanzasa, żyjącego w r. 1000, dały pochop angielskiemu mnichowi franciszkańskiemu, Rogerowi Bacon, do używania przy czytaniu szlifowanych szkieł i kryształów. Z jednej z pieśni ludowych z tego mniej więcej czasu wypływa, iż w południowych Niemczech były w użytku pewnego rodzaju „rozjaśniające szkła".

Pewny jednak dowód o używalności szkieł optycznych czerpiemy z kazań dominikańskiego mnicha de Rivalto. Pierwsze rysunki szkieł takich z trzonkiem znajdujemy na wodnych znakach papieru, pochodzącego z północnych Włoch z r. 1368. Egzystują następnie rysunki krótkowzrocznych, posługujących się okularami, z drugiej połowy XVI wieku. Obok pojedynczego szkła podwójne na 2 rączkach, a także opatrzone zawiaskami. Okulary te używane były do połowy XVI stulecia.

Później weszły w użycie inne rodzaje okularów: przyczepiano je haczykiem lub przy pomocy pałeczek do noszonych wówczas peruk.

Ostatni ten typ zachował się do XVIII wieku i dopiero w ub. stuleciu przyjęły okulary formę dzisiaj używanej oprawy z pałeczkami zakładanemi za uszy.

Nowa roślina.

Drogą licznych krzyżowań i hodowli dochowano się rośliny, którą w Anglji nazywają „brotex". Roślina ta rośnie bardzo szybko, gdyż w ciągu półtora roku osiąga wysokość 2 i pół do 3 metrów i grubość do 25 centymetrów.

Nie wymaga specjalnej żyznej gleby ani odpowiednio łagodnego klimatu.

Z jednego akra, czyli z trzech ćwierci morga zasadzonego tą rośliną, można uzyskać 1692 kilogramów włókna, nadającego się do przeróbki na nici, jedwabie, 5.45 kilogramów miazgi, nadającej się do wyrobu lepszych gatunków papieru, oraz 2.378 kilogramów nasienia, z którego otrzymuje się wyborny olej pastewny dla bydła.

Dotychczasowe doświadczenia z tą niezwykłą rośliną dały podobno świetne wyniki. W Anglji zawiązało się przedsiębiorstwo mające eksploatować „brotex" dla celów przemysłowych.

Zamglony księżyc i pogoda.

Mglista aureola dokoła księżyca uchodzi powszechnie za oznakę zbliżającej się niepogody. Aureola ta pochodzi stąd, że promienie księżycowe załamują się w drobnych kryształkach lodowych unoszących się w tak wysokiej atmosferze, w których nawet w lecie panuje temperatura niższa od zera. Zachodzi zaś między rozmiarami tych kryształków, a rozmiarami aureoli ten związek, że im mniejsze kryształki tem większą aureolą i naodwrót. Otóż maleńkie kryształki spadają w powietrzu niezmiernie powoli na dół i lada podmuch wiatru idącego w górę unosi je ze sobą, tak iż nie mogą one spaść na ziemię. Wielkie kryształki lodu i krople wody spadają znacznie prędzej i nie tak łatwo prąd powietrza wstępujący do góry zatrzyma je w tym spadaniu. Gdy więc kryształki te osiągną odpowiednią wielkość, wówczas spadają one na ziemię w postaci deszczu lub śniegu, zależnie od temperatury niższych warstw powietrza. Wynika z powyższego, że zmniejszenie się aureoli dokoła księżyca jest niechybnym znakiem zwiększenia się kryształków lodu, zawieszonych w wysokich warstwach powietrza, a co za tem idzie, jest zwiastunem zbliżającego się deszczu lub śniegu.

Oryginalni głodomorzy.

Nie wszystkim zapewne wiadomo, że niektóre zwierzęta są najzupełniej nieprawdopodobnemi głodomorami, wobec których produkcje „artystów głodowych" wyglądają jak licha zabawka. Tak naprzykład pchła może żyć bez żadnego pożywienia tygodniami a nawet przez całe miesiące. Pluskwa jeszcze dłużej. Niektóre gatunki żmij wytrzymują dziewięć miesięcy głodu. Ptaki mogą nic nie jeść 28 dni. Psy wytrzymują do 36 dni, podczas gdy normalny i zdrowy człowiek najwyżej tydzień do dwóch tygodni. — Wodne salamandry i żółwie mogą żyć latami bez

pożywienia. W Ameryce odbywają się obecnie próby, które pobić mają wszystkie dotychczasowe rekordy w tym kierunku. W Nowym Jorku ma pewien uczony kilka sztuk pewnego gatunku ryb afrykańskich, które od czterech lat żyją bez jakiegokolwiek pożywienia.

Badacz pragnie przedłużyć eksperyment ten jeszcze na jeden rok. Ryby te mają ciekawy zwyczaj. Gdy tropikalny upał wysuszy rzekę do dna, włażą one w muł łożyska rzeki i pozostają tak, pozornie nieżywe i bez pożywienia, tak długo, aż koryto rzeki napełni się znów kiedyś wodą. Egzemplarze ryb tych znajdują się w Nowym Jorku, zasnęły w mule przed czterema laty. Do dziś śpią i żyją, nic nie jedząc i ciekawe jest, jak długo jeszcze wytrzymają w tym stanie. A biologowie łamią sobie głowy, jak wytłumaczyć taki stan, w którym istota żyje, nie przyjmując żadnego pokarmu przez lat cztery.

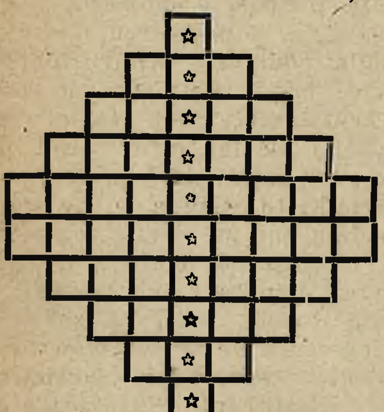
Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Jan Żak w W.:** Oset w polu należy wyrywać z korzeniami, nim jeszcze zakwitnie. Najlepiej to robić po deszczu, kiedy ziemia miękka, aby wyrwać cały korzeń. Odszkodowania wojenne, zdaje się, już przepadły, gdyż rząd niema na to funduszów. Obligacje dolarówki i pożyczki budowlanej można kupić zawsze dowolną ilość w każdym banku. Grzybka wspomnianego nie znamy, więc nie możemy powiedzieć, czy on jest zdrowy. O ile wiemy, jeżeli ktoś przechodził lub przejeżdżał jakąś ścieżką, czy drogą przeszło trzydzieści lat, to dalszego przechodzenia zabronić mu nie można, byle tylko szkody żadnej nie robił. Ulicy Chmielnej w Krakowie dotychczas niema. Wydalanie kawalerów z pracy, a pozostawianie żonatych następuje z tego powodu, że kawaler, mając na utrzymaniu tylko siebie, jakoś prędzej da sobie radę, podczas gdy żonaty musi wyżywić nietylko siebie, ale żonę i dzieci, więc gdyby utracił pracę, więcej osób na temby cierpiało. Najlepiej byłoby nikogo nie wydalać. O pracę można się zwracać do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy, Kraków, ul. Lubelska. Trzeba najpierw sprawdzić, czy dłużnik jest w danej miejscowości, bo gdyby go tam nie było, Sąd nie mógłby mu wręczyć aktu oskarżenia i cała sprawa przepadłaby. Wspomniana powieść jest zmyślona, ale ładnie zmyślona. — **Józef Serafin w M.:** Artykuł o Tatrach bardzo dobry, ale musi zaczekać, aż ukończymy „Dziwy Życia". Dając równocześnie trzy powieści, nie mamy zbyt wiele miejsca na inne utwory. Ale już od 37 numeru będziemy dawali tylko dwie powieści, więc wówczas będzie więcej miejsca. — **Jan Stokłosa w L.:** Kwiaty drzew nie w każdej miejscowości wydają jednakową ilość miodu. Np. lipy w niektórych okolicach są prawie jedynym pożytkiem dla pszczół, miodem z nich w przeciągu kilku dni pszczoły zalewają wszystkie plastry w ulu. W innych wcale miodu nie wydzielają, albo wydzielają go bardzo mało. Powiada przysłowie, że za tanie pieniądze psi mięso jedzą. Tak też jest z owemi taniemi miodami: są to miody najlichszego gatunku, często bardzo fałszowane. Najlepiej kupować miód w sąsiedztwie u osób znajomych, o których się wie, że nie dopuszczą się żadnego fałszerstwa. Lepiej zapłacić nawet potrójną cenę, a mieć towar dobry, aniżeli kupować lichotę za tanie pieniądze. — **Janina Milska w K.:** Wierzymy zupełnie, że chciałoby się Pani wyjść zamąż, ale czy to znowu takie szczęście, to inna rzecz. Małżeństwo ma wiele stron dodatnich, ale może jeszcze więcej ujemnych. A powiada piosenka: „Dudni woda, dudni, w cembrowanej studni; ożenić się łatwo, odżenić się trudniej!" A czasem to i wcale nie można. Niech się Pani nie spieszy, niema do czego. Narzeczony nie uschnie, oj nie! — **Fr. Boryniak z W.:** Zamieszczenie w „Roli" ilustracji kosztuje jednakowo w jednym egzemplarzu, jak i w 10.000 egzemplarzach. Może i na to moglibyśmy coś poradzić, ale o tem życzeniu późno nam Pan doniósł, zresztą nasz rysownik wyjechał na urlop do Psiej Wólki. — **Sympatyk „Roli" z K:.** Na prenumeratę do końca roku brak będzie jeszcze 1 zł. Czy nadesłany utwór dobry, odpowiemy w następnym numerze „Roli". — **Jan Kwasek z P.:** Za życzliwość dziękujemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.).



1. Nuta. 2. Owad. 3, Minerał. 4. Imię żeńskie. 5. Gruszka. 6. Imię męskie. 7. Imię męskie. 8. Uroda. 9. Zator lodowy. 10. Nuta.

Litery w miejscu gwiazdek czytane z góry na dół dadzą nam rozwiązanie.

2. Szarada.

(Ułożył Józef Cyra).

Pierwsze — to miara w geometrji,
A drugie trzecie z innej materji
Jest zbudowane i w zimie chroni
Od tęgich mrozów złośliwej toni.
Trzecie i drugie zwykle na stawach
Spotkamy często zarosłe w trawach,
Gdyby je jednak wody przerwały
Toby dokoła łąki zalały.
Całość — to wielka, sroga machina,
Pod jej ciężarem grunt się ugina,
A od jej huku głuchną znów ludzie
W krwawym nieznośnym wojennym tru-[dzie.

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Liwosz z S).

I.

Czy to wprzód, czy to wspak,
Jedno znaczy, tak czy tak,
Raz tylko był na ziemi.
By ludzi utrzymać dobryki,
A kto go niezna, poznać go może,
I niech go szuka w jednym utworze.

II.

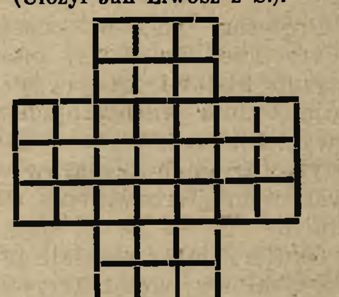
Zwierzę domowe, krzywdy nie czyni,
A gdy je odwrócisz i o „n" skrócisz,
Na wielbłądzie przebiega stepy pustyni.

III.

„Pod spółgłoską zaimek" leży na ulicy,
I szczęście przynosi. A co? zgadnijcie czy-[telnicy.

1. Krzyż magiczny.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).



Znaczenie wyrazów: 1) Motyl. 2) Ptak 3) Mieszkańcy Afryki.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 2 września b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 33 „Roli": 1. Logogryf: Syty głodnemu nie wierzy, 2. Szarada: Bez pracy nie będzie kołaczy.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali pp.: Dominik Buchała z Z., Rozalja Buchałowa z Z., Antoni z W., Janina Pragłowska z Z., Ludwik Kraska z Z., Edward Kachel z K., Jan Wojnar z M. G., Wawrzyniec Durbas z R., Jan Gara z W., Feliks Popielarczyk z S., Teofil Burman z K., Alojzy Iwanek z K., Franciszek Mazelon z Ł.

Nagrody otrzymają pp.: Janina Pragłowska z Z. i Edward Kachel z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Skarga.

Do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt wpłynęła skarga na Jana Kulasa, który darł koty z Józefem Ciemięgą.



To jest mój brat.

— Co to ma znaczyć? Jak możesz bić tak małego chłopca? Czy nie wiesz, że należy miłować swoich nieprzyjaciół?

— To nie jest mój nieprzyjaciel, to jest mój brat!



Z raportu policyjnego.

...przyłapany złodziej stał się ordynarny i nagle kazał mi się pocałować w pewne miejsce. Gdy to się stało, przyaresztowałem go.



Także zagadka.

— Co to jest? Ma cztery nogi. Z przodu nic nie widzi, z tyłu nic nie widzi.

— Nie wiem.

— Ślepy koń.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 23 sierpnia b. r.

Pszenica	26·00—27·00	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto	17·50—18·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies	15·00—16·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	17·00—17·50		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	34·00—34·50
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	47·00—48·00
Siano słodk.	8·00—8·50	Otręby pszen.	10·50—11·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	9·75—10·00
Koniczpastew.	9·50—10·50	Mąka czerw.	15·00—16·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 29 sierpnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawienie klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.

„Detefonem"

odbiornikiem detektorowym na krótkie i długie fale można wszędzie słyszeć stacje polskie oraz szereg zagranicznych. Cena **„detefonu"** ze słuchawkami i z anteną etc. 39 zł. »Detefon« nabyć można w każdym **urzędzie pocztowym** oraz w rozgłośni krakowskiej przy ul. Basztowej 9.

Pryw. gimnazjum żeńskie

PP. Benedyktynek w Staniątkach (poczta w miejscu) ze specjalnym typem eksperymentalnym, gimnazjum przyrodniczo - ziemiańskie. Gimnazjum istnieje już od roku 1924 i posiada b. prawa szkół państwowych, nadane rozporządzeniami Min. W. R. i O. P. z r. 1925 i 1931. — Bliższe informacje na miejscu albo pisemnie.

Do nabycia w Administracji „Roli":

„FLIRT POLSKI"

nowe karty do gry towarzyskiej z numerami są najpiękniejszą i najwdzięczniejszą zabawą towarzyską, 40 kart z pouczeniem w futerale **Zł. 1.15.**

LISTOWNIK DLA ZAKOCHANYCH

czyli podręcznik do pisania **listów miłosnych**, oświadczynowych, w sprawach małżeńskich oraz pięknych wierszyków na pocztówki. **Zł. 1.25.**

ŚPIEWNIK MIŁOSNY

zawiera: Pieśni i Piosenki miłosne, Weselne, Krakowiaki, Arje oper, Śpiewy i śpiewki ludowe, o miłości i kochaniu itp. w objętości 128 str. **Zł. 1.25.**

ZBIÓR POWINSZOWAŃ

na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok, oraz zbiór **Poezyj do Pamiętnika**, zastosowany dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w objętości 128 stron **Zł. 1.25.**

Za zaliczką nie wysyłamy. Po zawiadomieniu wysyłamy czek.

WIELKI ILUSTROWANY

Sennik egipski

zaczerpnięty ze starych egipsko - arabskich dokumentów.

Zawiera **2.500 wykładów snów** w alfabetycznym porządku, **90 rycin** ilustrujących sny, przewidzenia i zjawiska, **36 rycin kabały** słynnej wróżki Lenormand z Paryża. Objaśnienia o snach, przewidzeniach, wyroczniach, znaczeniach i zjawiskach. **Artonancje, czyli sztuka wróżenia z kart**, z ręki, palca i czoła.

Powyższy sennik wraz z opłatą pocztową **1.65 Zł.**

Piosenkarz Polski

Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1.30 zł.

Robię portrety kolorowe olejne

z fotografji wyraźnej, format wedle życzeń, ręczne wykonanie na płótnie. W razie niepodobania, nie zmusza się do wykupna takowego. Cena 35 złp. Wysyłać fotografję oraz 3 złote na koszta przesyłki. **Strzelczuk Czesław**, malarz — Bursztyn.

Matki pszczele rasowe

sprzedaję i wysyłam począwszy od czerwca do października, po otrzymaniu ceny: matki rasy kaukaskiej czerwonokoniczynnej po 12 zł, włoskie po 10 zł., amerykańskie, cypryjskie i palestyńskie po 15 zł. Ze względu na duże zapotrzebowanie należy zamawiać zaraz. Na odpowiedź dołączyć znaczek za 35 gr. **Juljan Piwowarski sad i pasieka p. Miechów (Kieleckie).**

PIECZĘCIE

dla Stowarzyszeń, urzędów gminnych parafjalnych Kółek Rolniczych i t. p.

GWOZDZIE DO SZTANDARÓW

Odznaki dla Stowarzyszeń wykonuje po najniższych cenach

JÓZEF MARCZYK RYTOWNIK

Kraków, Św. Tomasza 24 (Gmach Kasy Oszczędności)

Konto P. K. O. Kraków Nr. 407.948.

WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem



366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. **Do nabycia w Adm. „Roli".**

Aparat fotograficzny

mało używany, w dobrym stanie, okazyjnie do sprzedania. Wymiar: 10×15, podw. anastygmat Mayera F. 1:4,5, podwójny wyciąg, ognisk. 18 cm. Dodatki gratisowo: 1 futerał skórzany na aparat i 6 kaset z rzemieniem przez ramię, 1 statyw drewniany czterodzielny polerowany, 6 kaset do płyt i 1 kaseta do błon płaskich. Na żądanie służę wzorami zdjęć fotogr. Cena na zapytanie. Początkującym udziela listownie bezinteresownie gruntownych informacyj fotograficznych. Adresować: Br. January Wilk, Dukla, Małopolska.